

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 4(24)

WARSZAWA

1957

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

Ananiasz Zajaczkowski, <i>O przysłowiach tureckich i azerbajdżańskich</i>	371
Stanisław Kałużyński, <i>Notatki z pobytu w Mongolii</i>	397

UTWORY LITERACKIE

<i>Z poezji Rabindranatha Tagore</i> (przełożyła i opracowała Jadwiga Makowiecka)	405
Natan Szacham, <i>Jan Bar Chama</i> , Dramat w trzech aktach, akt. I (z hebrjskiego przełożył Władysław Tubielewicz)	413
Je Szeng-tao, <i>Człowiek z ryżowej słomy</i> (z chińskiego przełożyła Alicja Wiatr)	431
<i>Aforyzmy staroindyjskie</i> (z sanskrytu przełożyli Eugeniusz i Edmund Słuszkiewicz)	439

MATERIAŁY I NOTATKI

Stanisław Małachowski, <i>Dzban sakralny używany przez wyznawców hinduizmu</i>	445
Maria Skuratowicz, <i>Na marginesie afgańskich legend ludowych</i>	448

RECENZJE

Z KSIĄŻEK

Kuo Mo-žo, <i>Pisma wybrane</i> (M. Velingerová)	451
Paweł Nagai, <i>Dzwony Nagasaki</i> (W. Kotański)	454
Ju. W. Knorozow, <i>Sistema pis'ma drevnich majja</i> (S. Strelcyn)	458
<i>Rasskazy piersidskich pisiatelej</i> (F. Machalski)	459
M.N. Pietrow, <i>Bibliografija po geografii Irana</i> (D. Kowalik)	461

Z CZASOPISM	464
NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE	470

KRONIKA

Z wydarzeń na współczesnym Wschodzie	477
--------------------------------------	-----

SPIS TABLIC

Do artykułu S. Kałużyńskiego, <i>Notatki z pobytu w Mongolii</i>	TABL. I—IV
Do artykułu S. Małachowskiego, <i>Dzban sakralny używany przez wyznawców hinduizmu</i>	TABL. V—X

*

Winiетка na okładce stanowi motyw hinduski, przedstawiający pojęcie trójcy *Trimurti* w osobach bogów: Brahma, Wisznu i Sziwa.

Z POEZJI RABINDRANATHA TAGORE

„Rabindranath Tagore a Polska” — tak brzmi hasło wystawy organizowanej w bieżącym roku — wspólnie przez Hindusów i Polaków — w stolicy Indii, Delhi. Inicjatywę wystawy, już w samym założeniu, należy uznać za jeden z licznych dziś przejawów wzajemnego zainteresowania pomiędzy Indiami a Polską. Ze strony indyjskiej wyrazem tego zainteresowania ma być — w ramach zamierzonej wystawy — stosunek do Polski jednego z największych myślicieli i reformatorów nowych Indii, a zarazem największego hinduskiego poety naszych czasów, Rabindranatha Tagore’a.

Rodem z Bengalu, Rabindranath Tagore ogromem swego dzieła sięga daleko poza granice swego kraju. Wielkie odrodzenie Bengalu w XIX w., którego synonimem stało się w trzech pokoleniach nazwisko Tagore i którego zasięg wyznaczyła filozoficzna myśl jego twórczości, oparta na unowocześnionym hinduizmie, objęło dziś całe Indie, krzewi się dalej.

Wyrosły na *Wedach*, *Upaniszadach* i *Bhagawadgicie*, hinduskiej *Ewangelii*, przypominającej niejednokrotnie ducha *Ewangelii* chrześcijańskiej — Rabindranath Tagore zgłębiał doktrynę buddyjską i dżinijską, odrzucał, co w nich było przeciwne indyjskiej naturze, jej umiłowaniu przyrody, człowieka i życia, co sztuczne i nieistotne, wznoszące mury pomiędzy wierzeniami i narodami.

Oto w jakich słowach mówił znany indianista M. Winternitz w zakończeniu III tomu *Historii literatury indyjskiej*, jeszcze za życia poety:

„I gdy patrzymy za siebie na długi poczet poetów i myślicieli — od wedyjskich riszich, od piewców bogów Agni i Indry, Uszas i Waruny, od poetów-filozofów Upaniszad — do Walmikiego i poetów Mahabharaty; gdy widzimy, jak za wielkimi twórcami poezji sanskryckiej po upływie stuleci zjawia się Jayadewa, a po nim poeci tej miary co Kabīr i Tulsī-Dās, do których w naszych czasach dołączył się taki olbrzym jak Rabindranath Tagore — nie trwoży nas przyszłość Indii jako kraju najwyższej kultury duchowej, która i nam jeszcze niejedno mieć będzie do powiedzenia”.

Dalej niech mówi sam Rabindranath Tagore.

J. M.

Gitanjali XXXV.

Gdzie myśl nie zna trwogi, gdzie głowę się nosi wysoko;
gdzie wolną jest wiedza;
gdzie świat nie jest podzielony na kojce przegrodami trosk osobistych;
gdzie słowa wypływają z głębokości prawdy;
gdzie wysiłek — niezmordowanie — pręży ramiona ku doskonałości;
gdzie jasny nurt rozumu nie zagubił łożyska w jałowych piaskach martwych
nawyków;
gdzie umysły, którym przewodzisz, dążą ku coraz szerszym widnokręgom
myśli i czynu.

W tym niebie wolności — dozwól, mój Ojcze, niech się ze snu zbudzi
Ojczyzna!

i dlaczego
tęczą kwiaty są malowane;
wiem to, gdy kolorowe cacka wyrywasz mi z rąk.

Gdy rytmiczną śpiewam ci piosenkę,
dziecino, wiem dlaczego
ten poszum harmonijny w drzew koronach
i dlaczego do łona zasłuchanej ziemi
chór przenika fal;
wiem to, gdy śpiewam,
a ty mi skaczesz w ramionach.

Kiedy sypię słodczy w twoje chciwe rączeta,
wiem znowu, wiem dlaczego
w kielichu kwietnym słodkie miody,
dlaczego sokiem przedziwnym nabrzmiewa
tajemnie owoc — wiem, gdy sypię łakocie
w twe rączki wyciągnięte.

A gdy miłą twarzyczkę muskałem pocałunkiem,
by ujrzeć na niej uśmiech — wiem, poznaję
tę radość błogą, co świetlistym rankiem
spływa z nieba, i rozkosz tę niewysłowioną,
jaka przejmuje ciało, gdy je wietrzyk letni
tak pieści słodko — wiem, gdy cię całuję,
a ty się uśmiechasz, kochanie!

LXXXIII

MATKO! z łez boleści przez siebie wylanych
wysnuję kolbę z pereł dla twojej ozdoby.
Gwiazdy splatały złote dla twych stóp obręcze,
ale na sercu zawieszysz moje łzy.

Darów życia i sławy ty jesteś szafarką:
dać je lub odjąć — w twojej tylko mocy;
lecz moim, tylko moim — ból nieprzespanych nocy,
i kiedy ja tobie składam go w ofierze,
łaską mnie za to swoją darzysz ty.

LXXXIV

To ból rozłaki grotem przeszywa świat
i daje życie kształtom niezliczonym

w niebie bez końca.

To żal rozłąki przepływa milczeniem —
jak długa noc — od gwiazdy do gwiazdy;
to on mówi o sobie mokrych liści drzeniem
w lipcowy ranek bez słońca.

To ten — przenikający wszystko — ból goryczą zaprawia
wszelką miłość, wszelkie pożądania,
cierpienie i radość wszędzie tam
kędy ludzkie jest bytowanie.

To on, to przemijania żal
topniejąc nieustannie pieśniami przepływa
przez moje serce poety.

LXXXV

ŚMIERĆ — Twoja służebnica — stoi u moich drzwi;
szlakami mórz nieznanych z nakazem Twym przybyła.
Noc jest ciemna i serce pełne trwogi;
ale wezmę kaganek i otworzę przed nią bramę
i pokłon złożę powitalny:
wysłanka Twoja bowiem u moich stoi drzwi.

A potem ją pozdrowię, kornie złożęwszy dłonie,
choć we łzach oczy; i uczczę ją, składając u jej nóg,
mojego serca skarb.

Spełniła swe poselstwo, w powrotną ruszy drogę,
mroczny rzucając cień na mój poranek.
A w pustym domu pozostanie
moje bezradne JA — ostatnia już przeze mnie
złożona Ci ofiara.

XI

Przestań ciągnąć godzinki i różańca
odliczać ziarna, klepiąc nieskończone
koronki. Kogo ty nimi wielbisz w samotności
ciemnego kąta świątyni o drzwiach zamkniętych?

Podnieś oczy, rozejrzyj się dokoła:
tu — nie ma twego Boga.
On jest tam, gdzie oracz twardą orze glebę,
gdzie brukarz tłucze kamień;

jest z nimi w słońcu i ulewie —
jego szatę przyprószył ziemi pył.
Zwlecż opończę zakonną i podobny Jemu
znijdź w proch i ty!

Wyzwolenie? od kogo czekasz wyzwolenia?
Nasz Pan — czyż nie radośnie
przyjął na siebie okowy stworzenia?
On związał się z nimi na zawsze.

Ocknij się z twoich rozmyślań — na bok
odrzuć kwiaty ofiarne i zakonny sznur.
Zwisa w strzępach, zbrukana twa odzież? Cóż z tego?
Idź jak jesteś, gdy woła: przy Nim stań i trwaj
w trudzie ramion, w pocie twego czoła.

XXV

Gdy noc nadejdzie, spraw, abym bez walki,
swe losy ufnie zawierzywszy Tobie
w sen się pogrążył znużenia.
Bym się nie silił ulatującego
ducha do nędznych zmuszać przygotowań
na Twoje powitanie:
Ty sam, o Panie, zaciągasz welon nocy
na utrudzone oczy dnia,
aby świeżością nową promieniały
w radości przebudzenia.

Wiersz z innego zbioru — *Owocobranie*¹:

Dość było garści prochu, by zagrzebać
twój znak, zanim go jeszcze rozeznać zdołałem;
gdym się stał mędrszym — widziałem Twe znaki
we wszystkim, co je niegdyś przede mną skrywało.

Barwami gra Twój znak na płatkach kwiatu malowany;
fala go dzierzga srebrem rozmigotanych pian;
szczyty górskie na czołach dźwigają go wysoko.

¹ Wg niemieckiego przekładu autoryzowanego E. Engelhardta (1921).

Ale żem był odwrócił od Ciebie oblicze,
by znaki Twoje czytać, na wspak je czytałem
i tego, co mówiły mi, — nie zrozumiałem.

Ze zbioru *Ogrodnik*²:

Czy dla płomiennej tylko krasy młodego kwiecia
jest święto lata? Czy dla zwiędłego też listowia
i dla kwiatów, które ku ziemi
omdlałe chylą głowy?
Czy morza hymn godowy
hejnałem wzbierających tylko fal rozbrzmiewa?
Spiętrzony wał — gdy runie i ku zagładzie gna,
czyż zwycięsko śpiewa?

Całość twórczości poety obejmuje w oryginałach:

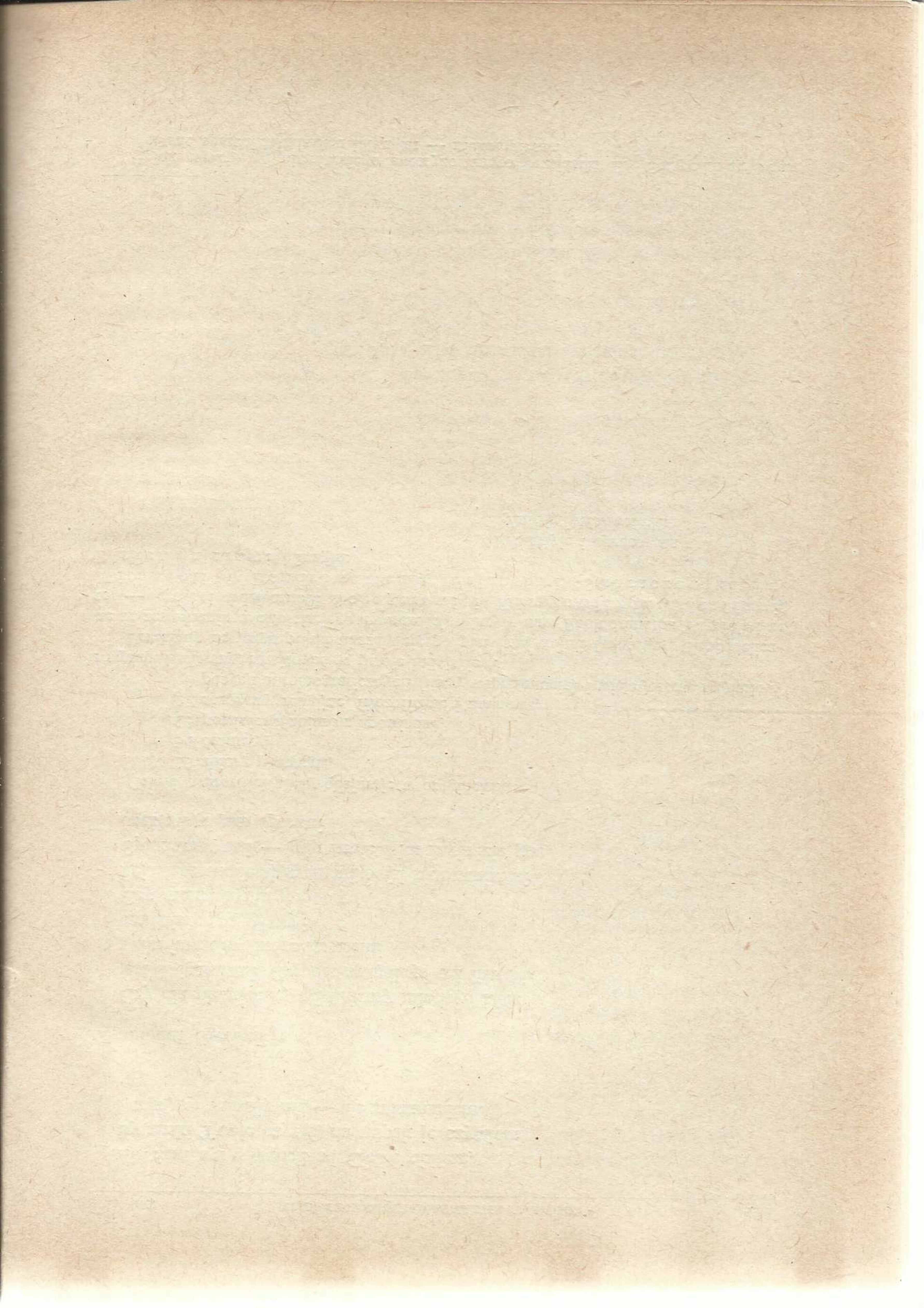
33 zbiory poetyckie,
34 dramaty,
13 powieści i zbiorów opowiadań,
22 rozprawy religijne, filozoficzne i naukowe,
6 pozycji autobiograficznych (listy, wspomnienia) i wiele jeszcze artykułów,
rozpraw i wierszy, rozsypanych w prasie indyjskiej³.

Przekłady na język polski ukazały się po pierwszej wojnie światowej. Choć nieliczne w zestawieniu z całością jego twórczości, odkryły nam Rabindranatha Tagore'a i za to — cześć i wdzięczność Schayerowi i Kasprowiczowi, Staffowi, Mirandoli i Bandrowskiemu, Fajansowi, Skoraczewskiemu, Birkenmajerowi i innym.

Przełożyła i opracowała
Jadwiga Makowiecka

² Jak wyżej, wg niemieckiego autoryzowanego przekładu E. Engelhardta.

³ Dane sprzed dwudziestu kilku lat — niekompletne.





NATAN SZACHAM*

JAN BAR CHAMA

Dramat w trzech aktach

Wielu pisarzy współczesnych czerpało swe natchnienie twórcze z epoki powstań i buntów przeciwko okupacji rzymskiej w Judei; żaden jednak ze znanych mi pisarzy nie potrafił w swych utworach wyjść poza ramy ustalonej chronologii i szablon faktów ewangeliczno-flawiuszowskich. W sztuce swej uczynił to Natan Szacham.

Bunt przeciwko rzymskim najeźdźcom miał charakter powstań wyzwoleniczych, atakujących dwa punkty: władzę i siły zbrojne okupanta, oraz wroga wewnętrznego z jego konserwatywną, ugodową ideologią — arystokrację ziemską, plutokrację i koła kapłańskie. Ci wszyscy umiejętnie współpracowali z Rzymem, nie czyniąc wzajem sobie krzywdy, pomagając sobie pieniędzmi lub wojskiem zależnie od stron i potrzeb, prywatnie zachowując dla siebie wzajemną nienawiść i pogardę. Na przykład fakt, że w latach trzydziestych panowania Tyberiusza pojawił się Galilejczyk, którego ideologia zdawała się godzić w interesy krajowych bogaczy i kapłanów i to, że Galilejczyk ten gromadził wokół siebie rzesze spragnione wolności, zaniepokoił być może kapłanów, którzy wykorzystując swe wpływy u Rzymian, za ich pomocą Galilejczyka usunęli. Jest to wydarzenie najlepiej nam znane ze względu na brzemienną w skutki późniejszą jego historię, osoba jednak jego wtedy nie była bezpośrednio groźna dla Rzymu, jak i nie były groźne rzesze Esseńczyków, wyznających mozaizm w swym zamkniętym społeczeństwie, sekty, o której można by dziś zaryzykować twierdzenie, że była utopijno-komunistyczna, daleka jednak od podjęcia walki zbrojnej z okupantem, walcząca z pokusami na pustyni. W tym świetle ją przedstawia Natan Szacham, umieszczając Esseńczyka w dialogu z pewnym galilejskim chłopem, gotowym przyłączyć się do powstania, podziwiającym organizację wewnętrzną sekty, choć z zastrzeżeniami natury zasadniczej. Przytaczam fragment:

— Jakże podziwu godne są drogi wasze, człowieku, jak bardzo bym chciał do was należeć. Tą drogą doprawdy można by urządzić powstanie... Gdybym nie potrzebował się troszczyć o suchy chleb dla swoich dzieci, natychmiast rzuciłbym swą duszę...

Esseńczyk: — Powstanie to jest tylko samobójstwem, czego nie wolno nam robić według świętych naszych praw zakonu. Władza pochodzi od Boga.

* Natan Š a ḥ a m, *Johanan bar Hama*, Sifrijat Poalim 1952.

— Skoro tak, to lekceważę sobie twoich świętych. Bądź zdrow.

Esseńczyk: — Bądź zdrow, niech Bóg błogosławi winnicę twoją, wieśniaku.

— Czy to prawda, że żon sobie nie bierzecie?

Esseńczyk: — To prawda.

— Macie zamiar wytracić ród ludzki ze świata na pokojowej drodze?

Esseńczyk: — Po zabiciu ciała, żyć będą dusze.

— A jeśli Pan Bóg chciał, żeby dusze sobie bez ciał żyły, to dlaczego stwarzał takie zniszczalne powłoki?

Esseńczyk: — Głupi chamie.

Chłop ten zresztą wraca do Galilei — „do ludzi wolnych”. Będzie tam może jeszcze do czasu oddawał cesarzowi co cesarskie. Ci jednak, którzy niechętnie na to się godzili, ponadto liczni ex niewolnicy-zbiegowie, rolnicy bez ziemi, łotrzykowie, chronili się w pieczary wawozów judejskich w okolicach Jerycho lub efraimskich gór, organizując oddziały. Tam tliły się zarzewia przyszłych buntów i stąd dokonywano napadów na karawany zwyczajnych, Bogu ducha winnych kupców. Z tymi to jednak wyjętymi spod prawa ludźmi solidaryzowały się pod względem walki o niepodległość kraju warstwy rzemieślników i wyrobników w miastach, drobnych rolników po wsiach. Utrzymywali oni łączność z oddziałami buntowników, wspomagali na swym terenie grupy terrorystyczne — ekspozytury tamtych.

Istniała jeszcze jedna sekta, gotowa przyłączyć się do powstania przeciwko Rzymianom (lecz tylko Rzymianom) — faryzeusze, ortodoksi religijni. Na sektę tę składało się wielu ludzi o różnych lecz szanownych profesjach: uczonych w piśmie, kapłanów, lub wprost ludzi, których żywiła świątynia. Należał do nich również Józef Flawiusz. Byli to ludzie rozważni, jednak gotowi chwycić za broń wtedy tylko, gdy się „już coś zaczęło”. Taki stan trwał jeszcze na krótko przed wybuchem wielkiego powstania w latach siedemdziesiątych (n. e.) i pisze Flawiusz, że „partia nasza zdecydowana była co prawda, na wszelki wypadek trzymać broń w pogotowiu, czekała jednak wpierw na to, co zrobią Rzymianie”¹.

Ci uczeni w piśmie faryzeusze przedstawieni w sztuce jak cienie, wahający się nad swym dziełem, otrzymują od ранego Jana Bar Chamy w twarz rzucone szyderstwo: „Żydzi skłuci mieczami, lecz ich usta nie zamykają się dla spraw zakonu...”.

Szacham w swej sztuce przedstawia narastający rozwój wypadków poprzedzających jakieś powstanie, które spaliło na panewce. Autor znakomicie obejmuje cykl incydentów, buntów, powstań w Judea Capta dramatycznym skrótem. Autor odrzuca na wstępie ramy chronologii historycznej, wzbrania się od sugerowania czytelnikowi jakiegokolwiek postaci historycznej poprzez osoby dramatu, wybornie szkicuje atmosferę Jerozolimy. Wnikliwie wprowadza czytelnika w rozstaje ideologii wszystkich postaci dramatu, na wskroś humanistycznego, po czym zostawia go samemu sobie w pesymistycznych refleksjach, gdyż każda postać ludzka schodzi ze sceny doznawszy zawodu, ze smakiem goryczy, utratą wiary w sens wysiłków. Nie jak umierający starzec, którego życie przygotowało do rozczarowań, ale jak ciężko ranny po przegranej bitwie, nie pojmujący, że tu się kończy niespełniona rola.

Natan Szacham jest młodym pisarzem. Być może jeszcze przed trzydziestką. Cała jego dotychczasowa twórczość jest poświęcona ludzkim wysiłkom w obliczu grozy. Były uwagi krytyki jednostronnej, że pisarz ten nie wyszedł z kręgu wyobrażeń ideologii *pal-machu*², lecz były to głosy pozbawione racji.

¹ *Vita*, VII, 21.

² *Pal mach*, skrót na *plugot* — *maħats* „oddziały szturmowe”, w których Szacham walczył w okresie wojny wyzwolenczej w 1948 r.

„Nie wiem, co to są opowiadania wojenne. Literatura przygotowana jest tylko do opowiadań o człowieku, a wojna jest krańcową formą odrywającą go z jego wyżyn po to, by siał pociski zamiast zboża. Gotów jestem przyjąć każdą uwagę związaną z baterią armat, nawet z łatwością przenieść je na inne miejsce. Literatura jednak pyta tylko o człowieka ustawionego pod ogniem armat”. Tak pisze Szacham w swojej przedmowie do zbioru swych pierwszych opowiadań⁴.

Pisząc swą sztukę, której akcja toczy się w starożytności, wykazuje on tak samo dobrą znajomość przedmiotu, jak i w opowiadaniach o współczesności. O ile język dialogu jego we współczesnej sztuce o tematyce wojennej⁵ jest językiem jak najbardziej współczesnym, pełnym tętniącej bezpośredniości, tak tutaj język hebrajski trochę misznaicki (okresu pobiblijnego), o przepięknych kadencjach, wybornie literacki, zadziwia nagłą zmianą stylu w kwestiach, które można by słuchać po grecku lub po łacinie.

Pragnieniem tłumacza było, by oddać te subtelności, jak również przedstawić całość dramatu; niech fragment ten pozwoli polskiemu czytelnikowi spełnienie pierwszego pobłażliwie osądzić, drugiego zaś — pragnąć gorąco, jak tłumacz.

W. T.

AKT I

Odsłona 1

Zaulek jerozolimski w dzielnicy nędzy. Trzecia straż. Światła przyćmione spoza zamkniętych okiennic pobliskiego domu rzucają blask na twarze dwóch ludzi w załomie ściany; jeden stoi, drugi siedzi. Obaj ubrani jak nędzarze. Ten, który siedzi, ma łagodniejsze rysy, dumne, w przenikliwych oczach szyderstwo; jakby „ktoś lepszy”, co choć za długi swe sprzedany, zna swoją wartość. Drugi jest krępy, ma grube i ciężkie ręce; wygląda na rolnika. Ten wsparty o ścianę, starszy jest od siedzącego, lecz mimo to bardziej nerwowy niż tamten. Wydaje się, że obaj wypatrują kogoś, na kogoś czatują i że zbyt długim już czekaniem są zmęczeni.

Rzecz dzieje się w okresie II Świątyni (okres hellenistyczny — rzymski), a współczesnym wystarczy jedna wskazówka: ten młodszy to Elazar — Jerozolimczyk z dobrej rodziny, tamten starszy — to Galilejczyk, plantator oliwek.

GALILEJCZYK (ziewa): Sporo czasu przeszło, a ten e... e... (namyśla się).

ELAZAR (mimochodem): ... Zdrajca.

GALILEJCZYK (szybko, jak ktoś, któremu rzecz staje się jasna): A ten zdrajca dotychczas się nie pokazał. Czy będziemy tak czekać do rana? (ziewa).

ELAZAR: Galilejczyku niecierpliwy... (również i on ziewa).

GALILEJCZYK (czeka z widocznym do młodszego od siebie szacunkiem). Skoro ten ziewać przestał, pyta znowu): A jak my go poznamy?

ELAZAR (niecierpliwie): Czy dużo jeszcze będziesz pytał? Jest jeden tylko człowiek w Jerozolimie takiego wzrostu, tak się porusza, ma tak wspaniałą brodę. Da się go poznać jeszcze po tym, że niepewnie stawia kroki. Takemu bowiem,

⁴ Natan Š a ḥ a m, *Ha- elim atselim* (Leniwi są bogowie), wyd. Sifrijat Poalim 1949.

⁵ Natan Š a ḥ a m, *Hem jaggiju maḥar* (Oni tu przyjdą nazajutrz), dyw.. Sifrijat Poalim 1954.

co się przebiera w łańchmany, stają się one kajdanami. Ty w twoich szmatach będziesz się poruszał swobodnie jak król w orszaku, a tamten w szmatach — rzecz naturalna — że nawet wzrostu mu ubędzie, bo poniżoną została jego godność. A to będzie jeszcze prostszym i lepszym znakiem dla takiego jak ty.... z chwilą, gdy się podniosę na nogi — to wiesz, że nadchodzi.

GALILEJCZYK (*w chwilę później*): Zdrajca, powiedziałeś, wytłumacz, kogo on zdradził?

ELAZAR: Ciebie, mnie, cały naród...

GALILEJCZYK: Czy doprawdy mnie też zdradził — ja go nawet nie znam?

ELAZAR (*drwiąco*): On jednak znał ciebie.

GALILEJCZYK: To ciekawe, naprawdę poznałby mnie i zawołał po imieniu?

ELAZAR: Ciebie i tobie podobnych i cały tłum nieświadomych głupców. Nie zdałby władzy swej w ręce Rzymu, na łaskę Rzymian, gdyby was nie znał. Dość! Pamiętaj, że obowiązuje nas cisza. Nożownicy nie gadają dużo. Jak będzie czas...

GALILEJCZYK (*z westchnieniem*): Jak będzie czas. (*Kładzie rękę na usta, po chwili jednak*): Popatrz, to drzewo na szczycie Góry Oliwnej wygląda zupełnie jak kwiat.

ELAZAR: Głupi Galilejczyk śni o trzodach. Przecież to podobne do pałacu.

GALILEJCZYK: Rabuś Jerozolimczyk spragniony łupu.

ELAZAR: Stul pysk, uważaj, cofnij się z kręgu światła, ktoś nadchodzi.

GALILEJCZYK (*wyciąga nóż*): Boże, zlituj się nad jego duszą.

ELAZAR: Ukryj nóż, Galilejczyku, nóż wydobyty przed swym czasem jest bronią wroga.

GŁOS Z CIEMNOŚCI: Ludzie, zobaczyłem blask w ciemności, niosę wam pokój.

ELAZAR: Zbliżno się tu Józefie ben Chananja.

(*Józef ben Chananja podchodzi*).

JÓZEF: Elazar? Nie spodziewałem się tu ujrzeć twojej twarzy.

ELAZAR: Kto duszę oddał sprawie wolności ludu, tego nogi prowadzą w każde miejsce, gdzie jest grabież i zdrada. Czyż więc dlatego dziwisz się widząc twarz moją w Mieście Dawida?

JÓZEF: Niech Bóg wybaczy moją szczerość, gdy jednak cię ujrzałem serce wróżyło mi nieszczęście. Czy doprawdy Ben Duma już myśli, że przyszedł czas na Jerozolimę?

JAN (*wymurza się z mroku*): Oddał z serca swego troskę, Józefie ben Chananja.

JÓZEF: Jan? Przecież to palec Boży, że tu o trzeciej straży we trzech się spotykamy.

JAN: We czterech.

JÓZEF (*dostrzega Galilejczyka*): Ten zbój, to kto?

JAN: To nie zbój tylko wysłannik ludu spragnionego wolności.

JÓZEF: Wszystko jedno.

JAN: Tak, wobec tego gorszym ty jesteś od niego, bo ty go wysyłasz na mord.

JÓZEF: Rąk swoich nie zboczyłem krwią. Przelana krew jest przelana krwią.

JAN: No, wówczas i sędziowie byliby mordercami.

JÓZEF: Sędziowie zabijają na podstawie wyroku — pospólstwo zarzyna z żądzy mordu.

JAN: Tak, dlaczego zatem ty jego wysyłasz, nie wykonując tego sam?

JÓZEF: Któż, lepiej od ciebie mógłby wiedzieć, że pochodzę z rodu arcykapłanów?

JAN: Prawda. Choćbym zapomniał — odczuję to z twych słów.

ELAZAR: Bo tylko szaty różne mają kapłani i celnicy.

JÓZEF: Cóż to ma znaczyć?

ELAZAR (*tonem wyjaśnienia*): Jedni i drudzy pospólstwem gardzą, a żyją jego głupotą.

JÓZEF (*do Jana*): Odpraw ich.

(*Jan daje znak Elazarowi i Galilejczykowi, którzy odchodzą*).

GALILEJCZYK (*na odchodnym*): Popatrz jak z tego wylazła nienawiść, zupełnie jak nienawiść do niewiernych.

JÓZEF (*do Jana, z chwilą gdy zostali sami*): Znasz moją duszę. Odnośnie powstania, nie liczyłem na arystokrację. Ale od czasu jak ta ręka zawisała nad ludźmi zamożniejszymi, wzrosła jednak bezczelność pospólstwa.

JAN: Bardziej niż bezczelności pospólstwa obawiam się czelności zamożniejszych, idących ręką w rękę z Rzymianami, by ochronić swe majątki.

JÓZEF: Czy mógłbym się zobaczyć z Ben Dumą?

JAN: Nie.

JÓZEF: A przecież obaj byliśmy jego pomocnikami? Teraz, od czasu jak was nogi poniosły z Jerozolimy, już nie pozwalasz mi do niego przystąpić.

JAN: Wcale nie, tylko dlatego, że jest on w Jerycho.

JÓZEF: Słyszałem rozmowę kobiet na rynku: Ben Duma jest w Jerozolimie.

JAN: Ja i kobiety na rynku — kobiety na rynku wiedzą lepiej?

JÓZEF: Uspokoileś mnie trochę, choć pewna troska tkwi w sercu...

JAN: Więc o niej powiedz.

JÓZEF: Ojciec mój w odzieży nędzarza komnatę swoją opuścił...

JAN: Arcykapłan? A nie obawiał się o swoją duszę?

JÓZEF (*z westchnieniem*): Zmieniony nie do poznania... i zaułkami się prze-mykał...

JAN: Być może chciał popatrzeć na nędzę ludu swego...

W głosie jego nuta goryczy. Józef piękny, urodziwej twarzy — uosobienie słabowitości. Jan — niskiego wzrostu, chudy, o rysach brzydkich z piętnem cierpienia. Ojciec jego sprzedany został w niewolę lichwiarzowi. Syn urodził się w niewoli. Młodość swą spędził u Esseńczyków, od których odszedł, gdy okazało się, że są przeciwni powstaniu. Później, gdy jednak ogarnęło ono szerokie kręgi, wyruszyli również Esseńczycy na wojnę. W owym czasie nie było go już pośród żyjących.

JÓZEF: Nie to... chociaż może... czy będę mógł ci ufać, przyjacielu?

JAN: Czyż jeden cel nam nie przyświeca? A jednak mi nie ufasz, skoro o to pytasz. Ja zaś mogę. Bo powiedziano: „Nie ufajcie możnym”, a moja kieszeń jest dziurawa.

JÓZEF: Nic jasnego, w słowach wielu. Posłuchaj jednak: Ben Dumy szukał mój ojciec.

JAN (*zdziwiony*): Ben Dumy? A my o tym nie wiemy?

JÓZEF: Właśnie. Sprawy tak są zawikłane, że sam siebie pytałem, czy nie płakać nad ogromem zła. Ta noc jest porą ludzi śmiałych, lecz także porą złych knoń.

JAN: Knoń, doprawdy?

JÓZEF: Ojciec mój pieniężnym okupem zamierza pozyskać Ben Dumę.

JAN: Sumę wymienił?

JÓZEF: Z tego co proponował, wynika, że...

JAN: Czy z nim rozmawiał twarzą w twarz?

JÓZEF: Twarzą w twarz.

JAN: Oddał z serca troskę. Człowieka takiego nie da się kupić mamoną.

JÓZEF: Nie o Ben Dumę też się martwię; mój ojciec... wiesz przecie, że on jeden z całej grupy kapłanów i krajowych bogaczy, sam pragnie zagłady Rzymu.

JAN: Krwi niewinnej nie rozlewają ludzie Ben Dumy.

JÓZEF: Prawdopodobnie. Choć jest nie mało w naszej gromadzie próżniaków i nicponi.

JAN: Nie wzniesie się ręka do ciosu, zanim głowa nie powie: „Bij”.

JÓZEF: Pójdę teraz, uspokoiłeś mnie. A ty uważaj na siebie — kraj roi się od zdrajców.

JAN: Słowa twoje słuszne są mój bracie, lecz bądź spokojny, oddał z serca troskę.

JÓZEF: Jakże ja troskę z serca mam oddalić, gdy okrucieństwo pewnych ludzi w Izraelu mnie przytłacza.

JAN: To jednak są tylko ci, którzy wyrywają złe ziele z winnicy Izraela.

JÓZEF: A właściciel winnicy przyjdzie i zbierze plony.

JAN: Gdyby nie pan winnicy, który daje moc mojej dłoni, nie podniósłbym jej na głupiego psa.

JÓZEF: Bądź zdrow, mój drogi, i pamiętaj, gotowi jesteśmy pozabijać wszystkich naszych przeciwników, lecz Izrael na tym nic nie zyska.

JAN: Wykonuję rozkazy Ben Dumy.

JÓZEF: Ben Duma jest w Jerycho, a nóż kąsa w Jerozolimie. Nim tu przyszedłeś...

JAN: Zaprawdę biada mi, jeśli bym kazał człowieka zabić z lekkim sercem.

JÓZEF: A gdyby nawet z ciężkim sercem, czyż ból nie szarpie serc osieroconych?

JAN: Rzymianie uczynią wszystkich Izraelczyków sierotami.

JÓZEF: Czy nie zanadto ci się spieszy?

JAN: Z twych słów wynika, sercem nie całkiem jesteś z Ben Dumą.

JÓZEF: Potwór to tylko, który nie ma w sercu Boga.

JAN: Błogosławiony lud, że choć potwory zdolne są przywrócić mu cześć.

JÓZEF: Wątpię. Najpierw obnosi się słowa o sprawie wolności ludu, jak ostrogi, a potem patrzy na porozpruwane ciała na ulicach.

JAN: Opuszcza cię odwaga?

JÓZEF: Jeśli by opuściła mnie odwaga, nie okazywałbym teraz wątpliwości prawej ręce herszta rzeźników, ale na równi z całym stadem pochlebców krzychałbym też: „Droga gwiazdy przez Jakuba”, żeby uchronić swój brzuch przed nożem. Na Boga, czyż nie ciemnieje mi twarz kiedy patrzę na miedziane hełmy u bram świątyni? Lecz jak będziesz wojował bronią, której wróg ma więcej? Czemu nie walczyć czymś, co ty posiadasz, a czego on nie ma. Mieczu ma on więcej od ciebie.

JAN: A ty co masz takiego, czego oni nie mają?

JÓZEF: To się jeszcze okaże.

JAN: To się jeszcze okaże — powiadasz, gdy rozgrzebane węgle pod naszymi nogami.

JÓZEF: Bądź zdrow, mój drogi i pamiętaj, że sercem jestem ciągle jeszcze z wami. Oby tylko życie ludzkie nie było dla was nazbyt błahe.

JAN: Bądź zdrow, uspokój się. Moja ręka nie tknęła jeszcze nikogo, chyba lewiatanów wśród szkodników ludu. Czyś ty doprawdy myślał, że nóż rozsądzi nas i przeciwników? Nie nóż, lecz miecz. A miecz się nie podniesie, nim cały naród nie powstanie do wojny przygotowanej z rozmysłem.

JÓZEF: Wyjawiasz własny swój sąd, lecz nie zamiary Ben Dumy.

JAN: Jeśli istnieje różnica między mną a Ben Dumą, to nie w tym.



Odsłona 2

Chwilę potem. Ogrodzone podwórze, pogrążone w ciemności. W oknie domu blade światło. Skrzypi ciężka drewniana brama, po czym słychać zasuwany zamek. Smuga światła pada na nogi dwóch ludzi u wejścia. Wyższy z nich sunie w kierunku smugi światła. Z chwilą kiedy w nią wchodzi, wzdraga się wejść na powrót w ciemność. Poznać po nim, że jest kimś znacznym. Wspaniała broda sięga mu na piersi porusza się z pewnością siebie. Jest ubrany w łachmany. Drugi nie rusza się od progu i nogi jego znikają ze smugi światła; on sam ginie w mroku. Po jakimś czasie znika stamtąd — jak się wydaje.

STARZEC: Czy to jest to miejsce?

DRUGI: To jest to miejsce.

STARZEC: Podnieś światło.

DRUGI: Nie ma tu nic, na co mógłby pan popatrzeć.

STARZEC: Podnieś światło, słyszałeś? Czy nie wiesz, kto przed tobą stoi?

GŁOS (z drugiej strony): Ar-cy-kapłan.

STARZEC (z lękiem): Kto mówi?

GŁOS: Ja.

STARZEC: Nikogo nie widzę. Podnieś światło.

DRUGI: To ten człowiek, z którym chciałeś się widzieć twarzą w twarz.

KAPŁAN: Ben Duma? Mógłbyś mi spojrzeć w twarz.

GŁOS: Mnie to niepotrzebne.

KAPŁAN: Wolisz się ukrywać?

GŁOS: Słowa twoje jasne są dla mnie w ciemności.

KAPŁAN: Cóż się stało z twym głosem, że tak się zmienił...

GŁOS (trochę ze zdziwieniem i trochę drwiąco): Głos mi się zmienił? Zmienia się wszystko, tylko nie głos. Ten głos jest moim głosem. Czy głos mój nie jest ten sam, co przedwczoraj, czy słowa nie po twojej myśli...

KAPŁAN: Głos i słowa — czyżbyś się zapierał?

GŁOS: Zapierał się siebie, czy zapierał się ciebie? Co wolisz? Dlaczego sam, w łachmanach, raczyłeś się trudzić do mojej siedziby o trzeciej straży?

KAPŁAN: Usuń swój miecz z Jerozolimy...

GŁOS: (Na życie moje, on zaprawdę pozna głos Jana Bar Chamy, podającego się za Ben Dumę...) Czy już jej grozi wolność?

KAPŁAN: Ben Duma, czyś ty mnie wołał tu na kpiny? Jeśli jesteś Izraelczykiem, to słuchaj: przestań grabić synów swego narodu.

GŁOS: Czy celnicy to też synowie Izraela?

KAPŁAN: Przestań drażnić Rzymian, których miecz kasa w Izraelu, oddal swój miecz z Jerozolimy.

GŁOS: Czyż nie zrozumiałbym twoich zamiarów? Chciałbyś, żebym drażnił Rzymian poza murami, aby ich zemsta dotknęła chłopów, a oszczędziła krajowych bogaczy. Jerozolima jest sercem Judy; płomień wyjdzie z serca ziemi.

KAPŁAN: Wasz bandytyzm nie wznieci ognia wśród tego nieszczęśliwego ludu.

GŁOS: Nam bardzo brak pieniędzy na nasze potrzeby.

KAPŁAN: Mógłbym zaproponować ci pieniądze, byleś tylko zniósł rozbój w Izraelu.

GŁOS: A ile pieniędzy możesz mi zaproponować?

KAPŁAN: Dosyć, byś sam ty żył w dostatku oraz dziesięciu twych najbliższych ludzi.

GŁOS (*z gorzkim śmiechem*): Bardzo nam brak pieniędzy, żeby utrzymać izraelskie legiony, które by poszły walczyć z Rzymianami, ty zaś mi proponujesz pieniądze po to, bym ciało swe tuczył w bogactwie. Z Esseńczyków wyszedłem i nigdy nie pragnąłem bogactw. Dla siebie możesz schować swe pieniądze. Bandytyzm nasz dlatego nie jest rozbojem, że obdzieramy tylko tych, co obdzierają naród.

KAPŁAN: Jesteś jeszcze bardzo młody, Ben Duma, i nie znasz ludzi. Jeżeli nawet będziesz bogatych łupić — zawsze im jeszcze pozostanie trochę na opłacenie rzymskich legionów, które by z tobą walczyły.

GŁOS: A zatem radzisz mi, bym grabił ludzi ubogich, a nie bogatych. Z sensu twoich słów to wynika. Powiadasz tak: powinienem poniechać majątki bogatych, bo gotowi oni wynająć rzymskie oddziały, które by walczyły ze mną.

KAPŁAN: Nie dbają oni o szczęście ludu.

GŁOS: Tyś powiedział. I dlatego, że nie dbają oni o szczęście ludu, powinienem ja im zostawić pieniądze.

KAPŁAN: Nie o pieniądze chodzi, lecz o wstrzymanie rozlewu krwi. Każdego dnia modlę się: „Boże, natchnij serce bogatego. Ubodzy, ci są ludem twoim”. Ale ty nie możesz z nimi walczyć, bo ujrzysz miecz kęsający Izraela, a bogatym niczego nie zbraknie.

GŁOS: I kto będzie żywił Izrael, jeśli oszukają go celnicy, a Ben Duma bierze ostatni grosz na powstanie?

KAPŁAN: Bóg, który karmi kruki, żywić będzie ubogich swego narodu (*podnosi oczy w górę*).

GŁOS: Choć posłańcy Boga, którzy kapłanią w świątyni, sami żywią się owocami Galilejczyka, a nie strawą kruków.

KAPŁAN: Młody byłem i zestarzałem się, lecz nie widziałem w opuszczeniu sprawiedliwego ani potomstwa jego, zebrzącego o chleb.

GŁOS (z goryczą): Byłeś młody i zestarzałeś się ukuty wśród pałacowych ścian. Lecz tych ja widziałem: siedem razy pada sprawiedliwy, a łotr spod niego wstaje. Jeśli sprawiedliwymi nie są ci, którzy konają z głodu u jerozolimskich bram, wówczas nie ma sprawiedliwych pod słońcem.

KAPŁAN (gwałtownie): Gotów jesteś zgubić Izraela. Któż ciebie ustanowił sędzią?

GŁOS: Nie ja za swoje pieniądze kupowałem od Rzymian kapłaństwo. Krzyk ludu mego obwołał mnie sędzią, ogień, który mnie pali, niedołężność Sanhedrynu, zachłanność kapłanów, sprzedajność celników, rzymskie psy. I gdyby nie naród, który imię moje woła, nie przekradałby się sam najwyższy kapłan o trzeciej straży, aby przekupić mnie pieniędzmi.

KAPŁAN: Będziesz za to odpowiadał jak Egipcjanin i jak rzesza głupców, idąca w jego ślady. Zaprawdę ujrzysz lud wołający twe imię, ale idący za twym krzyżem, gdy będzie pluł na ciebie w ulicach. Czy może sobie wyobrażasz, że jesteś jednym z bohaterów Izraela? Od czasu jak zaszło słońce Hasmonejców, odebrane zostało przywództwo bohaterom, a przekazane jest mędrcom.

GŁOS: Jeśli zaliczasz tchórzliwe serca do mędrców, moje niech będzie z głupimi.

KAPŁAN: Gotowyś...

GŁOS: Po co wiele słów. Jeśli przemawiasz w imieniu celników, jesteś wrogiem moim i wrogiem Izraela, bo nie mogliby Rzymianie rządzić w Izraelu bez pomocy celników i krajowych bogaczy, trzęsących się nad swymi pieniędzmi, którzy to powiadają: „Lepsza jest dla nas władza rzymska, prawowita, niż wolność próżniaków, nicponi i Galilejczyków, którym z ust czuć zapachy cebuli i czosnku”.

KAPŁAN: Ben Duma, żołnierze rzymscy nadejdą tu, zanim zdążysz ująć z życiem. Ja mógłbym tobie uratować życie. Czyś słyszał moje słowa (w głosie czuć groźbę). Mogą tu nadejść Rzymianie.

GŁOS: Niech cię Bóg broni, kapłanie. Sam rozstrzygnąłbyś los swój.

KAPŁAN: Moi ludzie są po drugiej stronie ściany.

GŁOS: Twoi ludzie są pojmani przez moich ludzi i zanim dotrą tu rzymskie oddziały...

KAPŁAN (drżącym szeptem): Szymonie, Szymonie...

GŁOS: To był uczciwy sługa.

KAPŁAN (osłupiały z przerażenia, drżącym głosem): Szymonie? Co zamierzasz zrobić ze mną? Tu mogą nadejść Rzymianie.

GŁOS: Jakże więc ja miałem tobie ufać? Ten kto kupił swoje kapłaństwo od Rzymian, tym łatwiej sprzeda swoich przeciwników. Cały ten podstęp Ben Dumie nic nie zaszkodzi (ukazuje się). Nie jestem Ben Dumą i żaden Rzymianin dotychczas mnie nie zna...

KAPŁAN: Bar Chama?!

JAN: Poznałeś mnie? Ja również dobrze ciebie pamiętam. Ojciec mój z klątwą na ustach zszedł ze świata. Gdyby on z wiary swej chciał uczynić motykę do kopania, nie prześladowalibyście go z taką zaciętością. Gdyby nie wasza zaciętość, nie zeszedłby na ostatni chleb i nie zaprzedał się w niewolę. Teraz w prochu leży cześć zakonu, a wyście zamilkli. Ale nie będę mścił się za ojca. Dziesięć razy stawałem u progu twego pałacu i nawet nie zakląłem, dopókiś się nie sprzedał celnikom na rzymskiego sługusa...

KAPŁAN: Nie życzyłem sobie widzieć się z tobą. Nie zadaję się ze służącymi... Gdzież jest Ben Duma?

JAN: W Jerycho, panie arcykapłanie.

KAPŁAN: Przecież dał słowo, że przyjdzie się ze mną zobaczyć.

JAN: Postanowiłem inaczej — że ze mną się zobaczysz. Ben Duma łatwo uległby obłudzie.

KAPŁAN: A więc wszystkie słowa na próżno. Ty jesteś tylko jednym z tych, co wykonują polecenia Ben Dumy — nie mamy sobie nic do powiedzenia. A zresztą nie przemawiałeś wcale po myśli swego pana.

JAN: Ja tylko wypełniam wolę narodu, a jeśli mój dowódca nie wykonuje woli ludu, wtedy ja nie wykonuję woli mego dowódcy.

KAPŁAN (*z przerażeniem*): Więc teraz...?

JAN: Wyjdź w ulice Jerozolimy i toruj sobie drogę do swego pałacu. Na życie moje! Jeśli poznają cię moi ludzie, będzie z tobą koniec.

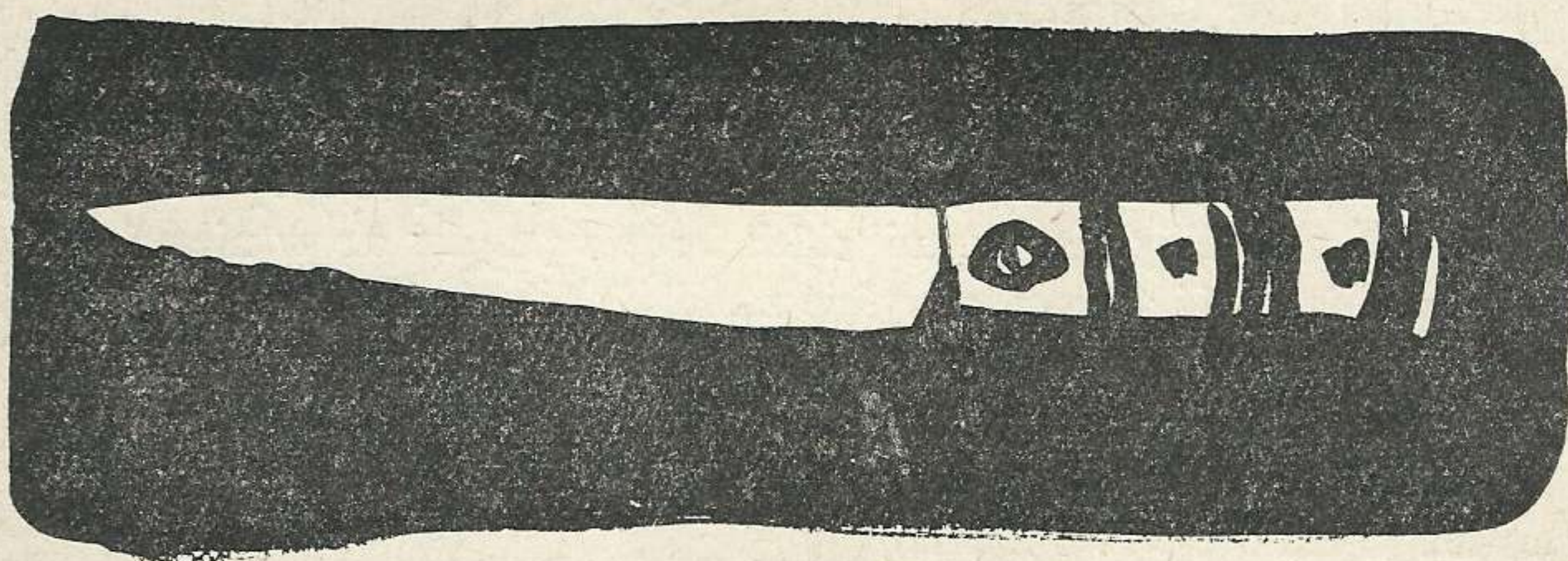
KAPŁAN (*zastanawia się przez moment, po czym chce krzyczeć*).

JAN (*z wyrzutem*): Masz zamiar krzyczeć? Noc w noc rozdziera krzyk jerozolimskie nieba. Czyś ty pomyślał kiedy w duchu: „Wyjdę ratować”, czy zatykałeś uszy, żeby nie słyszeć? Do kogóż więc teraz swój będziesz podnosił głos? Nie ma Boga w Jerozolimie, a żaden już człowiek nie zwraca uwagi na krzyki. (*Podchodzi bliżej. Kapłan cofa się bezwiednie*). Nie lękaj się — moja ręka ciebie nie tknie. Dostrzegam kapłański płaszcz pod tymi łachmanami. Wątpię, czy będziesz oglądał dzisiejszy poranek.

KAPŁAN (*wyniosłe unosi skraj płaszcza*): Nie dajesz mi ochrony?

JAN: Chroni się w cieniu Boga.

KAPŁAN: Słowa bluźnierstwa padają z twych ust. Niech Bóg nad tobą czuwa. (*Odchodzi dumnie przez bramę podwórza. Różowy świt. Jan odmawia poranną modlitwę*).



rys. Barbara Jonscher

Odsłona 3

Po krótkiej chwili w zaułku. Dwóch kupców i sługa. Sługa niesie na plecach ciężką skrzynię.

I KUPIEC: Czy to tu?

II KUPIEC: Aha, tak; tak zdaje mi się, jeżeli się nie mylę.

I KUPIEC (*do sługi*): Złóż tę skrzynię tutaj w załomie ściany. Nie tam, tutaj... (*Do kupca II*): Twoja wina, żeśmy się tak spóźnili.

II KUPIEC: Biorę tę winę na siebie.

I KUPIEC: Winę... chciałeś powiedzieć, że ponadto twój udział w zysku będzie mniejszy. Bo co mi z tego, jak sobie winą obarczysz sumienie? Jak twoja dola w sprzedaży będzie mniejsza, to rozumiem — wzięłeś winę na siebie.

II KUPIEC: Coś mi się wydaje, że to nie tutaj, tylko tam, za tym drzewem przypominam sobie też, że położyliśmy tam jakiś znak.

I KUPIEC (*do sługi*): Zanieś tam tę skrzynię.

(*Sługa z trudem stara się podnieść skrzynię. II kupiec próbuje mu pomóc*).

I KUPIEC: Nie masz prawa jemu pomagać, żeby się nie rozpuścił. Jak tylko pozwolisz im się pograć w lenistwie, to tacy gotowi tylko jeść i nic nie robić. Nie chciałbym, żeby spod mojej władzy wyszedł taki rozpuszczony leń. Gdyby to był cudzoziemiec, to dałbym pieniężny okup na zastaw, w sercu swym nie jestem sknerą. Nie ma dla mnie wielkiej różnicy, czy będzie robił więcej czy mniej, bo mam teraz więcej własnego majątku, ale to jest niewolnik żydowski i przyszedł do mego domu młody i silny, zdolny do każdego fachu — nie mam prawa psuć jego możliwości dlatego, że po dwóch latach może się wyzwolić. I to jeszcze — on umie pisać, a takich ciągnie do lenistwa, jak cielę do matki... (*śmieje się, wtem znowu jakaś troska chmurzy mu twarz*). Już świta, i stróże mogą nas nakryć z naszą zdobyczą, jeśli nie nadejdzie ten cudzoziemiec, który obiecał nam w tym pomóc. Boże, Boże, jakże drży wciąż moja dusza. Zaklinam cię, że długo tu nie będę żył, w tym mieście, pożerającym swych mieszkańców. Powiedziałem zaiste: „Przeniosę swoją siedzibę do Cezarei, chociaż... tam też nie

jest za bardzo bezpiecznie, a ich namiestnik bardziej łasy na pieniądze, niż ktokolwiek. Co sądziłbyś o Antiochii syryjskiej”?

II KUPIEC: Nigdy w życiu tam nie byłem.

I KUPIEC: Mnie się wydaje, że dobra. Ja też tam nie byłem. Istnieją głoski że i tam były zamieszki, ale nie ma ci człowieka, co by nie potrafił ocenić pieniędzy poza Esseńczykami i tymi gorliwcami, co to nie mają w sercu bojaźni Bożej i nie zwracają uwagi na cześć ani bogactwo. A zatem czyś już pomyślał o Antiochii syryjskiej?

II KUPIEC: Gdzie ty pójdziesz, tam pójde i ja, bo w twoje ręce powierzył ojciec mój majątek.

I KUPIEC: I dobrze zrobisz, boś jeszcze chłoptaś i marny byłby twój koniec — przekazać majątek kusicielom. Czy może sobie wyobrażasz, że utajoną została przed moimi oczyma sprawa tych dużych pieniędzy, coś je przekazał dla Ben Dumy?

II KUPIEC: Może on wyzwoli naród.

I KUPIEC: Nie ma nic lepszego, jak bat na wariata, bo bat lepiej przemawia do głupca, jak język; może i mnie się uda wbić tobie rozum do ciemienia i zanim posiwieją ci włosy, oddalić od ciebie wszystkie te marne pomysły. Również i ja w swej młodości skłonny byłem wierzyć... (*wzdraga się*). Patrz, tam leżą ludzkie zwłoki.

II KUPIEC: Przyspieszmy kroki — jeszcze zażąda się od nas jego krwi. Pójdziemy przez górną bramę miasta i wyjdziemy z miasta doliną Ben Hinom.

I KUPIEC (*kiwa na sługę*): Ale to bardzo długa droga.

II KUPIEC: Nie zwracaj na to uwagi. Odpoczywałem i spałem podczas drogi, czuję się młody i rześki. Piękna lekka przechadzka, by rozprostować nogi. (*Wychodzą*).

I KOBIETA (*dostrzega leżące na stronie ciało, unosi rękę, która bezwładnie opada. Obojętnie*): Leżą tu jakieś ludzkie zwłoki.

II KOBIETA (*bez zaciekawienia*): W jaki sposób on umarł?

I KOBIETA: W sposób ludzki śmiercią naturalną — z rąk ludzkich.

II KOBIETA (*bada szaty i dostrzega insygnia kapłańskie. Zmartwiała*): Och, biada mi, zamordowany arcykapłan, och, och, biada Izraelowi, arcykapłan został zabity. Biadać nad tymi, co zginęli, a przywrócenie nie będą. Widziałam go na własne oczy, jak wstępował na stopnie świątyni, piękna postać, cały zdawał się jaśnieć. Biadać nad tymi, co zginęli i przywrócenie nie będą.

I KOBIETA: Co ty tak lamentujesz? Daj sobie spokój. Gdyby ten co tam leży był jedynym żywicielem dzieci, to wątpię, czy znalazłby się ktoś, kto by je ratował od hańby. Na arcykapłaństwo znajdą się jeszcze chętni. No, chodźmy stąd, zanim nas nie wezmą i nie postawią pod sąd. Patrz, zbliżają się ludzie.

(*Nadchodzi Elazar i Galilejczyk*).

II KOBIETA: To tylko prości ludzie.

I KOBIETA: Strażnicy i szpiedzy to też zwyczajni ludzie.

ELAZAR (*niby to zaskoczony spostrzega ciało arcykapłana i hałaśliwie podnosi głos*): Ojoj, zabito człowieka, na głównej ulicy zabili, czyż nie ma Boga w sercach morderców?

I KOBIETA (*syczy*): Zamknij gębę durniu. Jak będziesz za dużo wrzeszczał, to powiedzą, żeś ty go zarznął. Bo dziś krzyczy nad zabitym w Jerozolimie tylko sam morderca, co chciałby swym krzykiem w błąd wprowadzić ludzi. Gotów jesteś krzykiem swym na siebie zwrócić podejrzenie. Tak podejść możesz Rzymian, ale jerozolimskich ludzi tym nie nabierzesz.

ELAZAR (*zmieszany*): Masz słuszość niewiasto. Dał tobie Bóg rozsądek w sercu.

I KOBIETA: Co Bóg dał sercu — wzięli ludzie, a co tam ludzie zasiali, tego Bóg jednak nie weźmie.

ELAZAR: Jesteś najmądrzejszą z kobiet, jakie kiedykolwiek znałem w swoim życiu.

I KOBIETA: Na miarę mojej nędzy.

ELAZAR (*wyrywa sakiewkę z pasa arcykapłana*): Nieprzyzwoicie to hańbić zmarłych, ale jesteś biedną kobietą. Bierz tę sakiewkę z jego pasa — niewiele to warte, o ile warte cokolwiek. Tyś więcej warta niż to, tylko ten łysy, przebrał się w łachmany. Oho, oto jego pierścień. Schowaj to, zanim ludzie zobaczą i zanieś swojemu mężowi.

I KOBIETA (*wzdycha*): Mojemu mężowi...

ELAZAR: Czy uraziłem ciebie, jesteś niezamężna?

I KOBIETA: Gorzej, przed dwunastoma laty udał się on po naukę zakonu i wrócił, gdy dorósł syn pierworodny; wrócił i zabrał go z sobą. Za jakie grzechy, na Boga tak mi się wiedzie? Mój mąż nie poszedł wcale po naukę zakonu, tylko do ludzi Ben Dumy poszedł wsadzać nóż w plecy niewinnym przypadkowym przechodniom.

ELAZAR: Gdybym miał taką żonę, nie wyszedłbym za próg swego domu.

I KOBIETA: Czy ci tak własna żona zbrzydła, że przed świtaniem uciekasz na ulicę?

ELAZAR: Ben Duma roznieci powstanie i wyzwoli Izraela. Dobrze twój mąż zrobił.

I KOBIETA (*do II Kobiety*): No, chodź już stąd Miriam jak najprędzej. Sądziłam, że jest to człowiek rozsądny, ale to tylko jeden z tych, co to myślą, żeby zabić czterech, a piątego zbawić. Lepsi już dla mnie są ci głupcy ze swoim wyzwalaniem duszy, niż ci, za których przemawia nóż. Nie potrzebuję twoich podarunków. (*Ma zamiar oddać, lecz rękę cofa*). Nie, skorzystam z nich lepiej niż ty. Zresztą ja pierwsza zobaczyłam zwłoki. Masz sakiewkę Miriam, bo też razem zobaczyłaś ze mną (*exeunt*).

GALILEJCZYK: Na Boga, ta kobieta powiedziała słowa słuszne. Cztery już dusze nóż mój zarznął, a powstania jak nie ma, tak nie ma.

ELAZAR: Niecierpliwy Galilejczyku. Powstanie się nie spóźni. Zmęczyłem się jednak ciągłym powtarzaniem tobie tych słów: wciąż ci powtarzać tę gadkę bez końca — zanim cały Izrael nie pójdzie za Ben Dumą, nie ma powstania, tylko rzeźnia. I bądź dlatego cierpliwszym. Jedna chmura deszczu nie daje — dopiero, kiedy pociemnieje całe niebo. Rozumiesz? Nim naród cały nie uwierzy w Ben Dumę, musimy czekać.

GALILEJCZYK: Żonę i trzy maleństwa porzuciłem w swej wiosce, a większej miłości nad wolność nie znałem. Powiedziałem sobie: powstaniemy i bić ich będziemy... a dotychczas ani jeden Rzymianin nie wpadł mi w ręce, zabiłem tylko przeciwników Ben Dumy. Tego Ben Dumy, którego nigdy w życiu na oczy nie widziałem, ani nie wiem kto to, ani za niego nie myślę oddawać duszy. A teraz biada mi przed zemstą faryzeuszy i biada mi przed wściekłymi rękoma żołnierzy, biada mi, na płacz moich głodnych dzieci, biada mi, że ciągnie mnie do żony.

ELAZAR (*pogardliwie*): Idź głupcze, szukaj swojej wolności na łonie kobiety, nie tacy mężczyźni nadają się do wojny.

GALILEJCZYK (*ze złością*): W życiu jeszcze nie machnąłeś nożem, nad trupem tego zabitego dreptałeś jak koło baby i ty mnie będziesz teraz tu zawstydział?

ELAZAR: Czyż jednak nie byłem dla ciebie przyjacielem?

GALILEJCZYK: Nienawidziłem zawsze tych uczonych mędrców, bohaterów pyska, ogłupiających uczciwych ludzi. Przecież jak tylko zaczynam mówić — już ze zdziwieniem patrzysz mi na usta, jak bym był osłem, co zaczął przedmowę.

ELAZAR: Usuń się stąd, Józef ben Chananja nadchodzi...

JÓZEF (*zbliża się wraz z siostrą. Staje jak wryty nagle obok ciała arcykapłana*): Oto on. Ach, serce mi wróżyło nieszczęście. Ach ojcie, ojcie, wspaniały człowieka, jakże cię zniszczyć mógł ohydny nóż morderców?

MARIA (*pada na ciało swego ojca*): Ach ojcie, ojcie...

JÓZEF (*stoi na przeciw nie zbliżając się*): Mordercy jego muszą mi odpowiedzieć za to.

MARIA: Dotknij, ucałuj raz ostatni ojca swego, ach ojcie mój, ojcie...

JÓZEF: Od teraz ja jestem arcykapłanem i nie mam prawa chylić się nawet przed ojcem.

MARIA: Twarde masz serce.

JÓZEF: Takie są prawa naszego zakonu. Ojciec twój leży martwy przed tobą, a ty już lekceważysz brata swego?

MARIA: Przebac mi, bracie, nie myślałam nawet o tym w nieszczęściu. Pomyślałam sobie: ukoję swoją żal — nie powstrzymałam języka. Czy naprawdę jesteś arcykapłanem? Przecież pusta jest nasza kiesa, jakże wyciągniesz rękę, by kupić ten urząd?

JÓZEF: Wiem dobrze moja siostró, że któryś z tych obłudników zachłanych na pieniądze, kapłaństwo weźmie dla siebie. „Nie ma praw, nie ma sędziów w Izraelu”! Posłuchaj jednak wiary w moim natchnionym sercu — zaprawdę powiadam ci: gdyby nawet noga moja nie tknęła świątynnych stopni, dziś ja jestem arcykapłanem Izraela. Przy zwłokach ojca mego, wspaniałego człowieka, zaklinam cię, że pod sąd własną ręką wydam morderców.

MARIA: Ach, ojcie, ojcie... jakże ten Ben Duma...

JÓZEF: Ben Duma nie odważył się podnieść ręki na kapłaństwo, tylko Jan. O n.

MARIA: J a n?

JÓZEF: Znam dobrze ukryte skarby twego serca, dlatego tak jesteś mi droga. Jak wielką jest jego brzydota, tak wielką jest twoja dusza. Na Boga, jak dumne było moje serce z siostry, oczyma swymi wyjawiającej tajemnicę serca, odkrywającej przede mną po raz pierwszy swoją miłość do tego brzydala o silnej woli. Tak, powiedziałem sobie wtedy, nie odda serca moja siostra powierzchownej urodzie. I tak cię kochałem, tak dumny byłem z ciebie siostró. Mój Boże, był mi nad wszystkich ludzi droższy... Teraz jednak, niechaj ta twarz do śmierci pozostanie tobie w oczach...

MARIA: Boże, czyś ty zaszczerpił w ludzkim sercu nienawiść? Dlaczego zabił ojca najuczciwszy człowiek Judei?

JÓZEF: Nie jestem dzisiaj już chłopcem — poznałem drogi łotrów, lecz drogi sprawiedliwych są mi niepojęte. Jak wielką jest jego prawość, tak tajemnicze drogi jego. Gdyby ten nie był twoim ojcem, żal byłoby mu duszy jego. Zaprawdę nie ma zgody wśród faryzeuszy i gorliwości, a ojciec nasz w trosce o pokój w domu Izraela rękę swą kładł na wrogów, aby odeprzeć zło — stąd jednak do ... (*łzy toczą się po twarzy*) daleka droga. To obawa przed zbytym faworyzowaniem tak pomieszała mu w głowie. Dlatego, że to ojciec twój był właśnie, on postanowił go uśmiercić. Gdybyż ten sprawiedliwy nie był pomyślał sobie: „miałbym go żywić, dlatego, że jest on jej ojcem...”. Boże, strzeż mnie przed sprawiedliwymi, przed łotrami sam się będę bronił! (*Zjawia się sługa*): Czemuś się tak spóźnił? Przecież mówiłem ci, byś szedł tuż za nami?

SŁUGA: Szedłem tu panie i natknąłem się na jakiegoś czcigodnego człowieka, który mi zaczął wymyślać — czyż mogłem dojść dopóty on stał i wymyślał? He, jak dobrze kłął — zupełnie jak jaki nicpoń.

JÓZEF: Skończ ze swym gadaniem (*sługa spostrzega zwłoki*) — skocz szybko do pałacu, zwołaj sługi i straż.

SŁUGA (*przerażony*): O Boże, mój pan, mój pan, był dla mnie jak ojciec. (*Znika*).

JÓZEF: Pozostańmy tutaj, będziemy pilnować, by jacyś ludzie nikczemni nie połaskili się na jego szaty. Siostró, zapamiętaj to sobie, przy zwłokach ojca się zaklinam — przyjdzie dzień zemsty i zapłaty. To jeszcze kładę sobie w serce

dzisiaj. Nie masz okrucieństwa, od którego rąk nie mógłby powstrzymać człowiek czystego serca, dla sprawy wznioślejszej w dążeniach ludzkich. I gorsi są uczciwi i o twardej woli, niż prostacy pośród łotrów — bo ci nie zadrżą. Dlatego pomyślałem sobie: wierz tylko tym, co strzegą praw zakonu, prawa te bowiem są wyraźne, gdy prawa serca największego nawet wśród śmiertelnych bez praw zakonu — nie są jasne nigdy.

MARIA: Och, jak ogromne jest nasze nieszczęście...

JÓZEF: Któż zdoła je zmierzyć miarą prawdy?

MARIA: Ach ojcie, mój ojcie...

JÓZEF: Boże, chroń naród swój...

CZŁOWIEK (*stary, wsparty na lasce, usta szepczące modlitwę*): Oszczędź swych przeciwników, a Bóg i ciebie uchroni, synu człowieczy.

JÓZEF: Chronić swych wrogów, by się występny w świecie mnożył?

CZŁOWIEK: Jeśli będziecie kochać tych, którzy i was kochają, cóż dla siebie zyskacie, czyż nie tak samo postępują celnicy? Jeśli nie będziecie chronić nieprzyjaciół waszych, rozlew krwi na ziemi nie ustanie.

JÓZEF: Chronić swych wrogów — tak mi Boże dopomóż, lecz przeklęty niech będzie ten, kto zapomina o grzechach zwodzicieli Izraela, prowadzących go do zagłady. Przeklęty niech będzie na wieki...

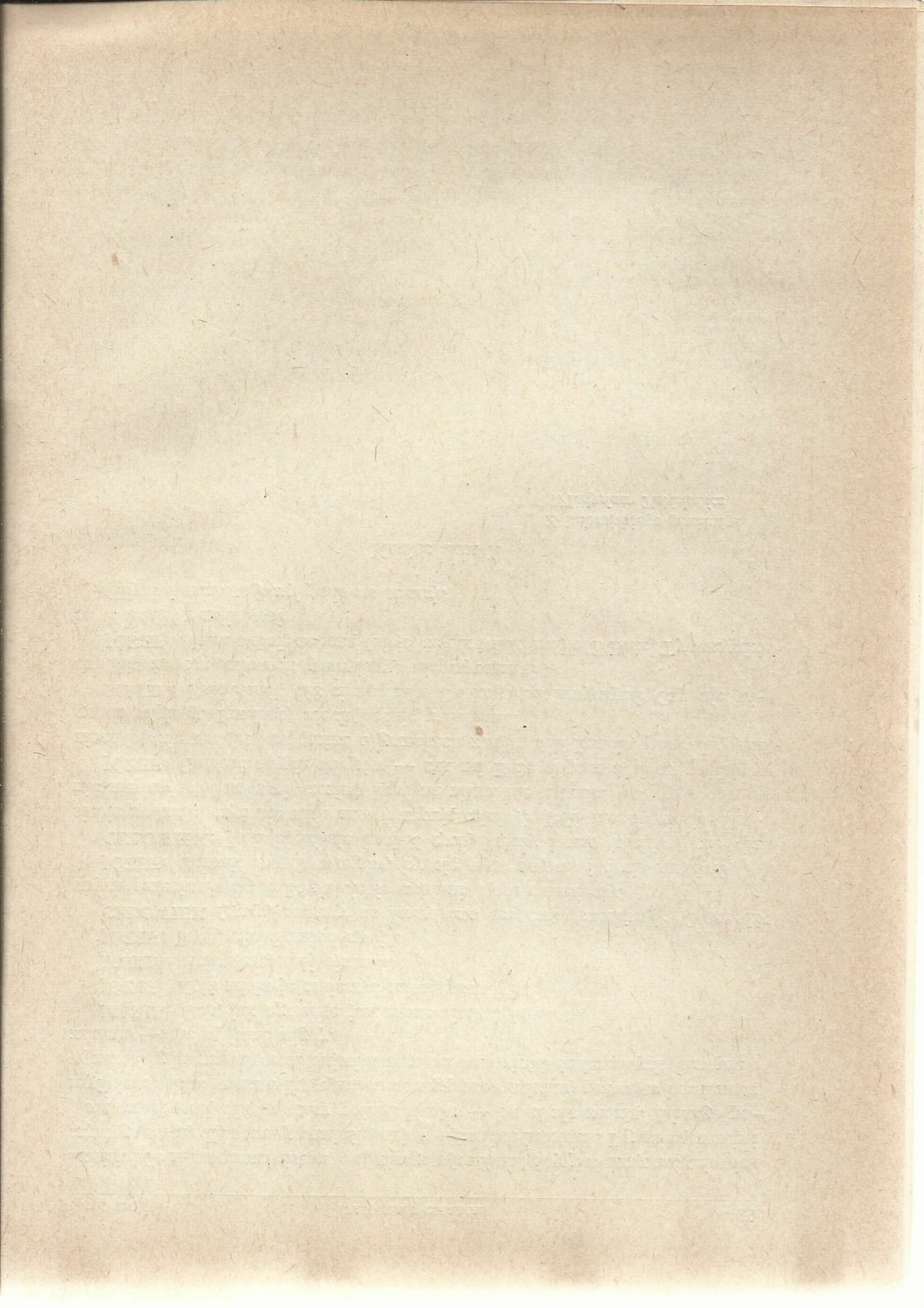
MARIA: Bracie mój, cóż ci się stało. Do kogo tak krzyczysz? Czy nie widziałeś, że ten człowiek pomyłony, nieprzytomny?

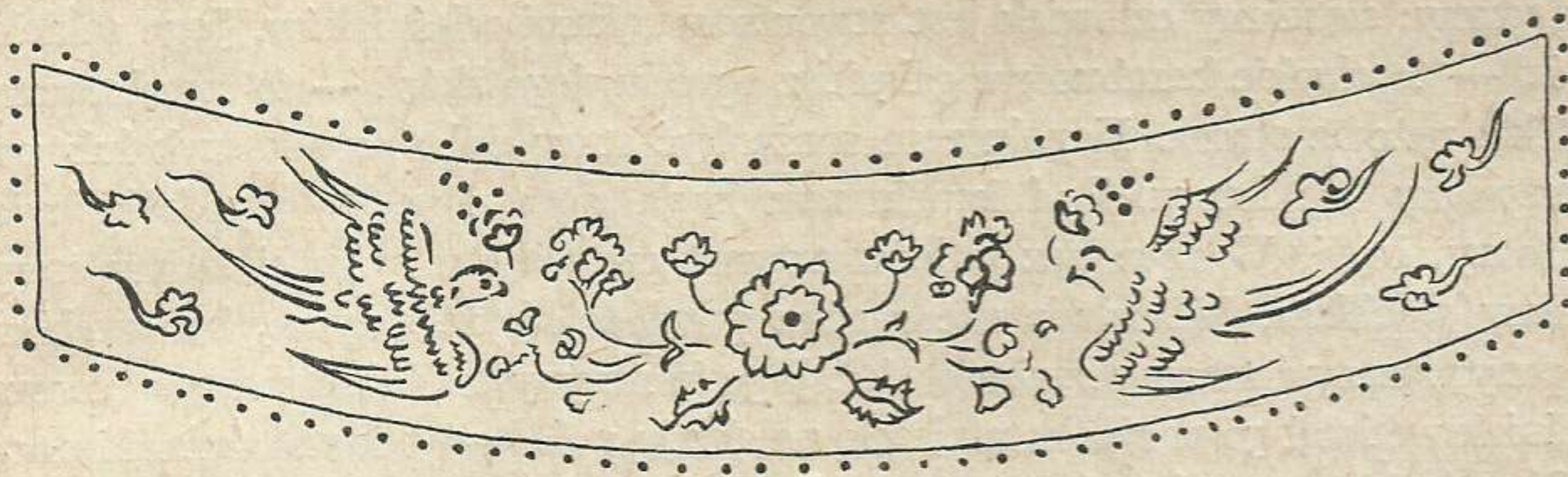
JÓZEF: Aha... cóż się ze mną dzieje, że tak wielki mój ból. Boże, Ty wszystko to widziałeś i milczysz?

(*Błysk i grzmot. Józef pada na twarz*).

Koniec aktu I.

Z hebrajskiego przełożył
Władysław Tubielewicz





JE SZENG-TAO

CZŁOWIEK Z RYŻOWEJ SŁOMY

Je Sza o - k ü n (pseudonim literacki — Je Szeng - t a o) urodził się w Wu-sien, w prowincji Kiangsu w r. 1893. Jest to jeden z najbardziej znanych nowelistów. Pisze krótkie opowiadania z życia chińskiej inteligencji, przeważnie nauczycielstwa, z życia młodzieży i opowiadania fantastyczno-baśniowe. Otrzymał tylko średnie wykształcenie, ale uzupełniał swą wiedzę jako samouk. Był nauczycielem, toteż znajomość środowiska nauczycielskiego i młodzieżowego wykorzystał w swych opowiadaniach. Od 1912 r. pracuje w różnych szkołach średnich, a potem uniwersytetach Szanghaju. Jako członek Towarzystwa Studiów Literackich wydaje przez pewien czas „Miesięcznik Nowel”, „Czasopismo Kobiet”, jest współpracownikiem poetyckiego czasopisma „Wiersz”, wydawanego przez Chińskie Biuro Książki. Nieco później przystępuje do pracy w Biurze Wydawniczym Kai-ming, wydaje czasopismo „Uczeń”. Swoje utwory drukuje w „Tygodniku Literackim” i w „Północnej Niedźwiedzicy”, w „Miesięczniku Literackim” i w „Życiu Literackim”.

W 1938 r. wykłada na Uniwersytecie Wuhańskim. Od 1940 r. przebywa w Cz'engtu, gdzie aż do zwycięstwa rewolucji pracuje w wydawnictwie Kai-ming.

W 1922 r. wychodzi zbiór jego nowel *Nie rozumiemy się*, w 1924 r. zbiór esejów *Pochwa miecza*, a następnie tomiki nowel *W mieście* (1926) i *Niestrudzenie* (1929). W 1930 roku ukazuje się nowela *Ni Huan-czy* i zbiór nowel *Kłeska*. Poza tym napisał opowiadania: *Pod widnokregiem*, *Młodzieniec*, *Kroki* oraz opublikował zbiór dramatów *Rodzinne zebranie*.

Opowiadanie fantastyczno-baśniowe *Człowiek z ryżowej słomy* napisane zostało w 1922 r.

A. W.

O krajobrazy, pejzaże pól! Dniem, poeta wzdychając układa o was wspaniałe wiersze, malarz przenosi wasze piękno na płótno; opiewają was dla wielu, wielu pokoleń. A nocą... Czy jest ktoś, kto mógłby opowiadać ludziom o życiu pól nocą? Nocą, poeta popija słodkie wino, a malarz, przyciskając do piersi pełen poezji instrument muzyczny, cicho nuci. Nie, oni nie mają czasu pójść w pole nocą. Czyż naprawdę nie ma nikogo, kto mógłby opowiedzieć ludziom o krajobrazach nocy? Jest, a jednak jest! Jest nim człowiek z ryżowej słomy.

Posłuchajmy, co mówią wyznawcy Chrystusa: człowiek jest stworzony rękami Boga. Nie pytajmy, prawda to, czy nie, ale naśladować wyznawców Chrystusa

powiedzmy: słomiany człowiek jest stworzony rękami wieśniaków. Jego szkielet i kości — to cienkie bambusowe gałązki z ogrodu, jego skóra — to zeszłoroczna pożółkła ryżowa słoma. Kapeluszem może być stary połamany koszyk lub po dziurawiony liść lotosu. Pod kapeluszem kryją się trudne do wyodrębnienia: nos, oczy, brwi. W ręce bez palców trzyma człowiek z ryżowej słomy stary, złamany wachlarz. Właściwie nie można powiedzieć, że trzyma, bo wachlarz jest przywiązany i martwo zwisa w dół. Jego kończyny też jakoś martwo sterczą. Wieśniak wetknął go w gliniastą ziemię na skraju pola — i tak stoi dniem i nocą.

Obowiązki swe spełnia bez zarzutu. Bo porównajcie go z wołem lub psem — nocnym stróżem. Wół, i ten przecież, kiedy się zmęczy, kładzie się na ziemi i odpoczywa. Leniwie podnosząc głowę, patrzy w niego. A pies — nocny stróż, kiedy weźmie go ochota, jak szalony biegnie aż na skraj wioski; toteż wieśniak napoci się niemało, zanim ukróci jego swawole.

Nie, człowiek z ryżowej słomy ani przez chwilę nie czuje tęsknoty i krzywdy, tak jak wół, który leżąc patrzy w niebo, ani też nie odczuwa pragnienia zabaw tak jak pies — nocny stróż, który ucieka na skraj wioski. Człowiek z ryżowej słomy tylko kołysze się i stojąc w miejscu patrzy za zagony pól. Wachlarz w jego ręku leciutko porusza się. Przegania fruujące młode wróbelki, które chciałyby wydziobać ziarenka z kłosów. Człowiek z ryżowej słomy nie potrzebuje jeść, nie potrzebuje spać, nie musi siadać i odpoczywać, stoi tylko na miedzy jak strażnik pól. I dlatego najbardziej zna i rozumie krajobrazy i życie pól nocą. On wie jak z nieba spada rosa, zna słodki jej smak. Wie, jak gwiazdy mrugając otwierają swe piękne oczy, jak uśmiecha się samotny księżyc. Zna ciszę nocnych pól, głęboki sen drzew i traw. Wie, jak składają sobie wizyty owady, jak kochają się motylki. Słowem, człowiek z ryżowej słomy zna wszystko.

A teraz oto posłuchajcie, co widział pewnej nocy:

Noc. Na niebie jasny, lśniący księżyc. Człowiek z ryżowej słomy strzeże zagonów pól, leciutko porusza się wachlarz w jego ręku... Muskając kłosa, lekko przelatuje wiatr, wydaje leciutkie tony, jak dźwięki liry. W blaskach księżyca łany ryżowych zasiewów stają się tak jasne, tak zielone, jakimi nie były w najwcześniejszej swej młodości, zaraz po wzejściu. Człowiek z ryżowej słomy patrzy, a w sercu czuje wielką radość i lekkość. Ten urodzaj musi być pomyślny dla jego gospodyni, musi wywołać uśmiech na jej żalostnej, starej twarzy. Kiedy też ona uśmiechała się po raz ostatni? Przed ośmioma czy dziewięcioma laty umarł jej mąż. Płakała tak długo, że jej oczy dotąd są czerwone i napęniają się łzami. Została ze swym jedynym synem i z nim obrabiała ten kawałek pola. Przez trzy lata pracowała, aby spłacić dług za pogrzeb męża. A potem spadło na nią nowe nieszczęście; zaraza dotknęła syna. Omal że nie postradała zmysłów; straciła poprzednią energię i z trudem obrabiała swoje pole. I znów — przez trzy lata ledwo zdołała wyjść z długów zaciągniętych na pogrzeb syna. A później — dwa lata głodów spowodowanych powodzią, zgniły lub przerosły zboża. Łzy nie wysychały na jej twarzy, oczy zamglily się, nie widziała nic na pięć kroków.

Twarz ta, poorana niezliczonymi zmarszczkami była podobna do zwiędłej mandarynki. Wydawać się mogło, że już nigdy nie pojawi się na niej uśmiech.

W tym roku słoma dobrze użyźniła pole i deszcze nie były zbyt obfite; toteż można mieć nadzieję, że plony będą bogate. I dlatego człowiek z ryżowej słomy już zawczasu cieszył się jej przyszłą radością. Jeżeli zbierze wyjątkowo bogate i piękne plony, może zwróci się jej to, co utracił, może zbiory staną się rekompensatą przeszłości. A wtedy na jej pomarszczonej, wyschniętej twarzy na pewno ukaże się uśmiech pełen spokoju i szczęścia.

Dla człowieka z ryżowej słomy uśmiech starej kobiety był piękniejszy od uśmiechu gwiazd, radośniejszy od uśmiechu księżyca, cenniejszy niż wszystkie skarby. Tak kochał swą gospodynię!

Kiedy tak rozmyślał, przyfrunął mały, biało-żółty motylek. Człowiek z ryżowej słomy wiedział, że motylek jest wrogiem młodziutkich kłosów, a tym samym wrogiem gospodyni. Przypomniawszy sobie o swych obowiązkach. Koniecznie musi go przepędzić! I wachlarz w jego ręku począł poruszać się nieustannie.

Ale małe motylki nie bardzo boją się poruszanego wiatrem wachlarza. Motylek podfrunął lekko i potem siadł, aby odpocząć. Zupełnie nie zwrócił uwagi na przepędzającego go ze zboża człowieka z ryżowej słomy. Człowiek z ryżowej słomy martwił się widząc małego motylka. Niestety, jego ciało podobne jest drzewu, które wyrósłszy w danym miejscu, chociaż chce, nie może uczynić nawet pół kroku. I dlatego z coraz większą pasją porusza wachlarzem, ale mały motylek ani myśli uciekać.

Na myśl o tym, co będzie ze zbożem, na myśl o łzach w oczach gospodyni, o jej wyschniętej, pomarszczonej twarzy, o jej losie, człowiek z ryżowej słomy tak cierpi, jakby ktoś jego serce kłuł ostrym nożem. A motylek ciągle siedzi — odpędzanie nie daje żadnego rezultatu.

Całymi sznurami powracają na niebo gwiazdy, wracają spokojne blaski nocy, a motylek ciągle fruwa. Człowiek z ryżowej słomy smutnie patrzy w dal na ryżowe pole. Wachlarz łamie się. Żałośnie zwisają pożółkłe, suche listki. Człowiek z ryżowej słomy spogląda w dół i dostrzega na listkach, coraz więcej motylków. I wtedy ogarnia go strach. Czuje, jak spada na niego straszne nieszczęście, bezmiaru którego nie można wypowiedzieć. O biedna gospodyni! Znów oczy jej zajdą mgłą. Tak chciałby ją ostrzec! Niechaj przyjdzie i odegna nieszczęście!

Ale to są tylko myśli. Z wysiłkiem porusza złamanym wachlarzem. Wachlarz uderza po jego ciele wydając pewien odgłos. Krzyczeć przecież nie może, tylko w ten sposób jest w stanie ostrzec swą gospodynię.

Cóż się dzieje dalej? Oto stara kobieta przychodzi na pole. Plecy jej są zgarbione. Patrzy na wodę na polu, której jest akurat tyle, ile potrzeba — nie będzie musiała przy pomocy koła prowadzić jej z rzeki. A potem waży w ręku kłosa. Twarz jej rozjaśnia jakaś niezwykła radość — na pewno ziaren zbierze się do syta. Spojrzała na słomianego człowieka. Po dawnemu czapka nakrywała jego głowę, po dawnemu trzymał w ręku wachlarz, słyszała odgłos uderzeń wachlarza

po słomianym cieie. I w ogóle stał jak powinien, nie zmienił swej pozycji, tak jak wczoraj, przedwczoraj i zawsze. Stwierdziwszy, że wszystko jest w należyтым porządku, usiadła na brzegu pola. Pomyślała, że czas wracać do domu kręcić sznury z trawy.

Człowiek z ryżowej słomy patrzył jak odchodziła, był bardzo wzburzony, ale nie mógł nic powiedzieć, tylko nieustannie uderzał wachlarzem. Rozpaczliwie łowił oddalające się kroki. Odgłosy uderzeń jego wachlarza jakby mówiły: „Wszak jesteś gospodynią, nie odchodź z pola. Nie wolno ci uważać, że wszystko jest w porządku. Ogromne nieszczęście zawisło nad twoim polem. Zobaczysz, nadejdzie pora zbiorów, a zebrać nie będzie co. Popłyną wtedy łzy z twoich oczu, serce będzie rwało się na kawałki. Zgaś ten przedwczesny płomień, jeszcze przyjdzie nań czas. Spójrz lepiej na listki młodego ryżu”!

Coraz większą nadzieję pokładał w szybkich uderzeniach wachlarza. Celem ich było przywołanie starej kobiety. Ale ona nie rozumiała go, oddalając się krok za krokiem. Wytężał wzrok, nie mógł jednak dostrzec nawet zarysów jej pleców. Pojął, że jego ostrzeżenia poszły na marne. Na polu nie było nikogo tak smutnego jak on. Cierpiał, że nie może uczynić ani jednego kroku, aby odegnąć zło. Cierpiał, że nie może przekazać swych myśli wiatrom, aby te zawróciły gospodynię, która jest w stanie zapobiec nieszczęściu. Czuł, jak bardzo ciało jego jest wyschnięte i słabe. Martwił się i cierpiał, tak że stać już nie miał siły. Skrzywił ramiona, zgiał plecy, twarz miał zboląłą, jak schorowany człowiek.

Nie minęło kilka dni, a całe masy żółto-białych motylków siedziały na łodygach ryżu. W ciszy wielu nocy słomiany człowiek słuchał, jak wysysają sok z ryżowych ziarenek i patrzył, jak lekko i radośnie fruwały. Ryżowe kłosa powoli, jakby poddając się losowi, zaczęły zwisać, więdły, żywy kolor ich listków stracił swą dawną zielen.

Wiedział, że ciężka, tegoroczna praca gospodyni pójdzie na marne, że znów staną łzy w jej oczach, że znów będzie ciężko wdychać. Człowiek z ryżowej słomy nisko opuścił głowę i zapłakał.

Nastaly chłodne dni. Nocą na polach hulał zimny wiatr i kołysał jego ciałem, które drżało jak struny gęśli. Płakał nie znajdując nigdzie współczucia.

Nagle doszedł do niego głos jakiejś kobiety, mówiącej: „Tak, to tutaj”.

Tak, jak i wtedy, poczuł w sercu chłód. No cóż, nie ma rady, po dawnemu musi pełnić swe obowiązki i stać tu mimo zimna.

Przypatrzył się kobiecie; była to rybaczka. Opodal płynęła rzeka. Łódka, w której siedziała kobieta zatrzymała się i można było w niej dostrzec mały język ognia. Rybaczka wyciągnęła sieć, rzuciła je na dno, po czym usiadła na brzegu rzeki czekając. Po jakimś czasie w łódce rozległ się słaby kaszel małego dziecka, a potem cieniutki, znużony głosik zawołał: „Mama”! Kobieta zaniepokoiła się i po raz niewiadomo już który wyciągnęła sieć ciągle pustą. Potem weszła do łódki i przemówiła do chorego dziecka: „Śpij spokojnie, mama złowi kilka rybek i jutro ugotuje ci na nich ryżowej zupki. Ty tylko krzyczysz i obawiam się, że ryby dlatego nie podpływają do sieci”.

Na te słowa dziecko niecierpliwie odezwało się: „Mamo, w gardle mi zasycha, daj mi herbaty”. Powiedziawszy to zaniosło się kaszlem.

„Tutaj herbaty! Daj spokój! O pizodkowie moi”!

„Ja chcę herbaty”! — wykrzyknęło dziecko i rozplakało się. Wśród tych pól, w nocnej pustce, płacz brzmiał boleśnie i niemal tragicznie.

Cóż ma robić rybaczka, wypuszcza z rąk sznur, zbliża się do łódki, nabiera z rzeki kubek wody i daje do picia choremu dziecku. Dziecko pije łapczywie do syta. Ale po opróżnieniu kubka kaszel staje się jeszcze ostrzejszy, aż wreszcie dziecko zmęczone nim milknie. Rybaczka nie podchodzi do niego, siedzi na brzegu i wyciąga sieci. Trwa to bardzo długo — chore dziecko nie odzywa się. Kobieta znów wyciąga puste sieci.

Aż nareszcie udaje jej się złowić karasia, długości około 6-7 *ts'un*¹. To jest pierwsza zdobycz tej nocy. Rybaczka z namaszczeniem wyjmuje go z sieci i kładzie do drewnianego wiaderka. Potem ponownie zarzuca sieci. Drewniane wiaderko stoi u stóp człowieka z ryżowej słomy, który czuje w swym sercu ranę. Lituje się nad chorym dzieckiem, którego wyschniętego gardła matka nie może zwilżyć kroplą herbaty i które chociaż tak chore i cierpiące, nie usnęło w ramionach swej matki. Lituje się i nad kobietą łowiącą ryby, która myśli o gorącej zupie i dlatego nie zwraca zmarzniętej twarzy ku choremu dziecku. Cierpi, że nie może dać dziecku do picia gorącej herbaty; cierpi, że nie może położyć się, aby ogrzać jego zmarznięte ciało; cierpi, że nie może odebrać ukradzionych przez żółto-białe motyle ziarenek i dać do ugotowania rybaczce. Gdyby tak mógł poruszać się, na pewno natchnąłby jej serce jakąś myślą. Największym jego nieszczęściem było to, że podobnie jak drzewo, nie mógł uczynić ani pół kroku. Mógł tylko zwiesiwszy głowę dalej płakać, płakać i cierpieć.

Nagły plusk ryby wrzuconej do wiaderka obudził w nim ciekawość. Przestał płakać, aby dowiedzieć się o co chodzi.

Woda w wiaderku ledwo pokrywała dno, a oślizgłe ciało karasia łaknęło wilgoci rzeki. Cóż, kiedy nie mógł się stąd wydostać. Chciał uciec i zaczął podskakiwać, ale za każdym razem dolatywał do brzegu wiaderka i potem znów opadał, aby leżeć potłuczony na dnie. Utkwiwszy swe źrenice w słomianym człowieku, z płaczem w głosie przemówił:

„O przyjacielu mój, spuść trzymany w swym ręku wachlarz, wybaw mnie od nieszczęścia! Porwano mnie z mojej wody i teraz — umrę! Ulituj się, okaż mi choć odrobinę serca, wybaw mnie od śmierci”!

Ta żałosna mowa karasia głęboko poruszyła serce człowieka z ryżowej słomy. Ale pokiwał tylko trzęsącą się głową, co miało oznaczać: „O, wybacz mi, ja jestem tylko słabą, bezsilną istotą! Z całego serca pragnąłbym uratować i ciebie i kobietę, która cię złowiła, i jej chore dziecko, i wszystkich innych, ale jestem tylko jak

¹ Chińska miara długości; 1 *ts'un* = 3,2 cm.

drzewo posadzone w danym miejscu i nie mogę postąpić nawet pół kroku. Tak, cóż ja jestem w stanie uczynić, nawet przy najlepszych chęciach. O, wybacz mi jestem tylko słabą, bezsilną istotą”!

Ale karaś nie zrozumiał jego myśli, a widząc nieustannie kiwającą się głowę zapłonął gniewem jak ogniem i głośno wykrzyknął:

„Czyż to jest dla ciebie takie trudne? Nie ma w tobie odrobiny ludzkich uczuć! Jakżeż mogłem być taki naiwny! Czyż kogoś postronnego mogłoby poruszyć cudze nieszczęście! Trzeba liczyć tylko na siebie, a jeśli własne wysiłki na nic się nie zdadzą, nie pozostaje nic innego, jak umrzeć! Cóż i tu musi kryć się jakiś sens”!

Powiedziawszy to, ryba na nowo zaczęła swe odważne skoki, ale ogon i płetwy poruszały się ostatkiem sił.

Człowiek z ryżowej słomy uświadomił sobie, że karaś źle zrozumiał jego myśli. Nie mógł przecież ich wyjaśnić, i tylko westchnąwszy cicho, zapłakał nad swą bezsilnością.

Po chwili podniósł głowę i ujrzał śpiącą rybaczkę — w ręku nadal trzymała sznur do wyciągania sieci. Jej zmęczenie było tak wielkie, że pokonało wszystkie nakazy zdrowego rozsądku. Usnęła, mimo że myślała o tym, że ma ugotować jutro rybną zupę, i o tym, że sen jest jej wrogiem.

Z wiaderka już nie dochodziły głośnie pluski wody wydawane przez skaczącą rybę. Karaś ledwie poruszał ogonem. Człowiek z ryżowej słomy pomyślał, że ta noc jest najtragiczniejsza ze wszystkich, jakie przeżył. To chyba prawda! Popatrzył na małych, jasno-żółtych rozbójników: najedli się do syta kradzionym i fruwają zadowoleni z siebie. Ukradziony ryż należał do gospodyni; ileż pracy włożyły weń jej stare kości. I to wszystko na to, aby zjadły go motyle! Czyż na tym świecie może być coś bardziej smutnego?

Powoli gasły blaski księżycy, zda się, wszystko zaczęło się wypełniać straszną, przygniatającą ciemnością. Człowiek z ryżowej słomy dostrzegł nagle, że brzegiem rzeki przesuwają się cienie jakiejś sylwetki. Przyjrzaawszy się jej uważnie, rozpoznał cień kobiety z rozwichrzonymi włosami, w obszernej, zimowej kurtce. Zatrzymawszy się, kobieta popatrzyła na łódkę, na rybę; nie poszła dalej w kierunku łódki, ale skierowawszy się ku brzegowi rzeki, postąpiła kilka kroków w dół i zatrzymała się. Człowiek z ryżowej słomy zdziwił się i zaczął rozmyślać, co to ma oznaczać. Kobieta mówiła coś, wydobywając z siebie pełne bólu, ciche dźwięki. Jednak człowiek z ryżowej słomy słyszał je — w swej samotności przywykł rozróżniać nawet najbardziej słabe odgłosy nocy.

A oto, co szeptała kobieta w nocnej ciszy:

„Nie jestem wołem ani rybą, czy mogę zgodzić się na to, abys sprzedał mnie ludziom? Jeśli teraz nie zejdziesz z tego świata, jutro gwałtem sprzedasz mnie obcym.

Dostaniesz trochę pieniędzy, ale w hazardowych grach lub przy żółtym winie stracisz je w kilka dni. Jakież ci to przyniesie korzyści? Dlaczego tak znęcasz się nade mną? Pozostaje mi tylko umrzeć, poza tą nie ma dla mnie innej drogi. Umrę, połączę się ze swym zmarłym dzieciątkiem, będziemy razem”!

Skargi swe co chwila przerywała okrzykami trwogi, czy żalu, które wreszcie zlały się w jeden szloch — płakała.

Potworny strach ogarnął człowieka z ryżowej słomy. Uświadomił sobie, że znów staje się świadkiem pełnego zgrozy wypadku: kobieta na pewno popełni samobójstwo. Za wszelką cenę pragnął ją uratować, pchała go ku temu jakaś niepowstrzymana siła. Dlatego coraz mocniej uderzał wachlarzem w nadziei, że obudzi śpiącą rybaczkę. Ale na próżno, rybaczka była zmęczona, spała jak zabita i nawet nie drgnęła.

Zapłonał wtedy nienawiścią do siebie za to, że jest podobny do drzewa, które zasadzone w danym miejscu nie może uczynić nawet pół kroku. Zdawał sobie sprawę z tego, że patrzeć, jak ginie człowiek i nie ratować go — to najgorsze przestępstwo. I oto on sam popełnia to przestępstwo. Zaiste, to było straszniejsze, niż śmierć!

„O, niebo, prędzej rozjaśnij się świtem! Wieśniacy, prędzej przybywajcie do pracy! Ptaki, nieście szybciej tę straszną wieść! Wietrze poranny, rozwieij jej straszne myśli, myśli szukającej śmierci”!

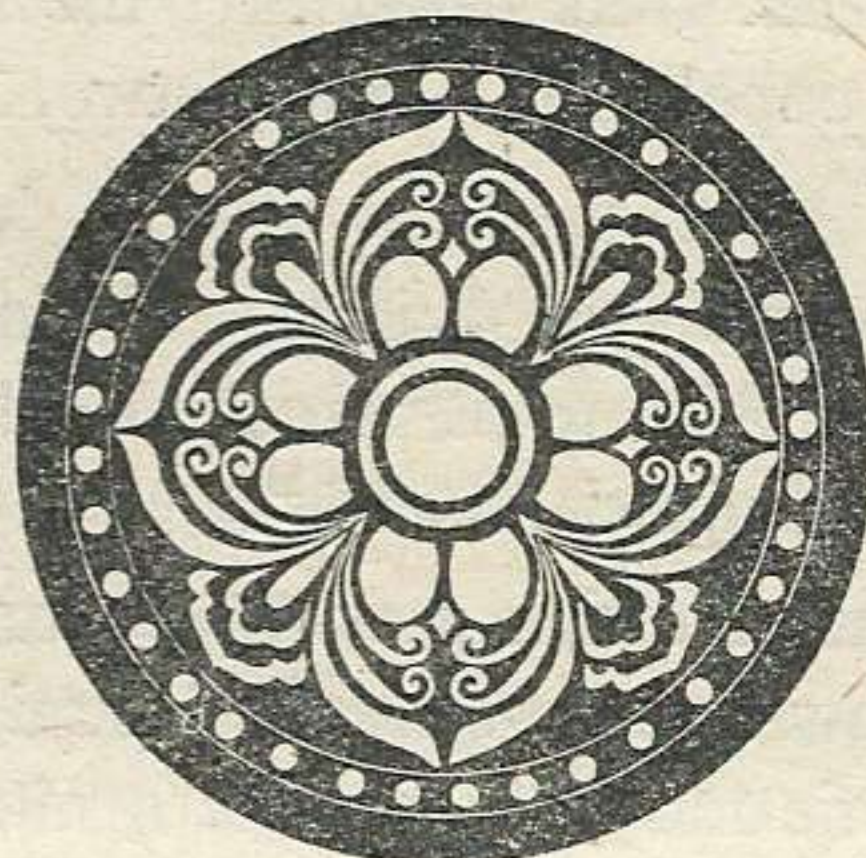
Tak modlił się bez słów człowiek z ryżowej słomy. Ale wokół wszystko po dawnemu spowite było złowieszczymi ciemnościami, była zupełna cisza. Serce rwało mu się na strzępy, nie mógł już myśleć o niczym innym, rosnący strach przykuł jego spojrzenie do samotnej, ciemnej, kobiecej postaci na brzegu rzeki. Kobieta stała w milczeniu, a potem kilkakrotnie pochylała się i znów prostowała. Człowiek z ryżowej słomy wiedział, że straszna chwila zbliża się, i tylko wachlarz w jego ręku uderzał nie milknąc ani na chwilę. Kobieta na brzegu rzeki jakby zastygła. Trudno powiedzieć, ile czasu tak stała. Nagle uniosła w górę obie ręce, ciało jej przegięło się i ... skryło w głębi wody. I wtedy — człowiek z ryżowej słomy padł bez czucia. I nie usłyszał już plusku wody, do której rzuciła się kobieta.

Wczesnym rankiem wieśniacy idący brzegiem rzeki zobaczyli w rzece topielca i dali znać o tym okolicznym mieszkańcom. Z pobliskich wiosek zaczęli nadciągać ludzie, kobiety i mężczyźni. Beładny tupot wielu stóp zbudził śpiącą twardym snem rybaczkę. Spojrzawszy na wiaderko, w którym leżał martwy już karaś, postawiła je na dnie łódki. Twarzyczka dziecka była jeszcze mizerniejsza niż wczoraj, a jego kaszel nie ustawał ani na chwilę.

Razem z innymi przyszła na brzeg i stara kobieta — gospodyni człowieka z ryżowej słomy. Przechodząc obok swego ryżowego pola, chciała spojrzeć na plody swej pracy. Po jednej nocy, młode kłoski ryżu, nie zdążywszy dojrzeć,

zwisały bezsilnie, liście na łodygach uschły i stały się żółte. Kobieta stanęła jak wryta i załamawszy ręce, gorzko zapłakała. A ludzie, kiedy nadbiegli pytając, czemu płacze, ujrzeli leżącego w poprzek pola człowieka z ryżowej słomy.

Z chińskiego przełożyła
Alicja Wiatr





AFORYZMY STAROINDYJSKIE

Staroindyjska — ściślej staroindoaaryjska — literatura religijna z epoki wedyjskiej i znacznie późniejsza od niej epika, liryka i dramat, wreszcie bajki i opowieści od dawna głośno o nich na całym świecie. O wiele mniej znane są utwory dydaktyczne i poezja gnomiczna. A przecież kompetentni uczeni orzekli, że i w tej dziedzinie — według niektórych szczególnie w niej — Hindusi doszli do mistrzostwa: posiadli w wysokim stopniu sztukę wypowiedania jakiejś myśli w sposób zwięzły i oryginalny, uderzający trafnością, choć nierzadko lapidarnie-paradoksalny, nieraz zabarwiony humorem, chętnie posługujący się porównaniem lub metaforą. Wobec ogromnie bliskiego życia się dawnych Hindusów z przyrodą nie zadziwi fakt, że i w tej dziedzinie twórczości znajdzie się nieraz obraz życia przyrody lub aluzje do niego. Trzeba też wspomnieć, że nieprzejrzana masa sentencji, aforyzmów, maksym itp. zawarta jest we wspomnianych już dziełach literatury — w eposie, dramacie, bajkach i opowieściach (o stanie rzeczy w tych ostatnich łatwo się przekonać rzuciwszy choćby okiem na przekład początku *Pañczatantry*, pomieszczony w zeszycie 2 (18), 1956 „Przeglądu Orientalistycznego”), nadto w literaturze prawnomoralnej i politycznej, nieraz wprost sentencjami przeładowanej, przynajmniej na nasz gust. Już to wszędobylstwo sentencji dowodzi jasno, że posługiwanie się nimi i wymyślanie ich weszło Hindusom w krew, stając się ich drugą naturą. To, com wyżej powiedział, odnosi się do zredagowanego w sanskrycie piśmiennictwa wyznawców braminizmu, a potem hinduizmu, lecz sprawiedliwość każe przyznać, że niezbyt za nimi pozostawali w tyle buddyści i dżiniści, zarówno w dziełach religijnych¹, jak w utworach świeckich. Nie ma bodaj dziedziny życia ludzkiego, której by nie poruszono w sentencjach zawartych w owych przeróżnych dziełach literatury dawnych Indii; przebija w tym niewątpliwie bogactwo doświadczenia i wielostronność myśli. Z czasem znane w kołach literackich aforyzmy itp. powiedzonka, których autorów najczęściej przemilczano i stąd też o nich zapomniano, zaczęto ujmować w osobne zbiorki, najchętniej w „setki” (ten wyraz dawano

¹ Ponad 400 zwrotek treści moralno-filozoficznej, składających się na tekst *Dhammapada*, przełożył z języka palijskiego St. F. Michalski (tytuł *Ścieżka prawdy*, wznowienie powojenne, Łódź 1948).

w tytule)², a nie brakło też poetów, co sami takie zbiorki układali. Jak w ogóle w literaturze staroindyjskiej, tak i tu popularność doprowadzała do tego, że taki zbiorek z biegiem czasu nieraz pęczniał, a często się mniej lub więcej zmieniał pod rękami przepisywaczy. Na zakończenie tych kilku słów wprowadzających godzi się jeszcze poinformować, że do dziś w Indiach uchodzi za obowiązek człowieka wykształconego znać sentencje, które by można wpleść w rozmowę w odpowiedniej chwili.

Pojęcie o niezmiernym bogactwie tego działu twórczości w dawnych Indiach dać może już fakt, że w ubiegłym wieku indianista niemiecki O. Böhtlingk wybrane przez siebie „Sprüche” rozłożyć musiał na 3 wcale spore tomy, obejmujące w pierwszym wydaniu (1863—1865) ponad 5400 pozycji (tekst sanskrycki i prozaiczny przekład niemiecki (w drugim zaś (1870—1873) już przeszło 7600. Z tego to zbioru wybraliśmy garść sentencji różnej treści, na początek z tomu I wydania drugiego, i podajemy je poniżej w przekładzie o ile możności wiernym. Dla wygody czytelnika i dla przejrzystości dzielię ten mały zbiorek na kilkanaście części.

E. S.



O szczęściu i o losie

91. Szczęście nawiedza jednego
bez jego trosk, bez starania;
innego zaś wciąż omija,
choć za nim tylko ugania.

★

171. Gdy człek zacny się biedzi z oplakany losem,
gdy sławny w nędznym rodzie ujrzał światło dnia,
gdy złemu szczęście sprzyja dostatek mu niosąc —
oto są trzy potknięcia, które Stwórca miał.

² Oczwistym wynikiem tego faktu są rozmiary przełożonych przez indianistę polskiego S. Stasiaka i zamieszczonych w I tomie antologii *Wielkiej literatury powszechnej* Trzaski „fraszek lirycznych i obyczajowych”. Tłumacz wybrał z różnych źródeł setkę i zatytułował całość: „Setka fraszek...”

Bezpośrednio przed tą setką na s. 74 znajdują się 4 aforyzmy sanskryckie w przekładzie A. Gawrońskiego.

O dobrych i złych

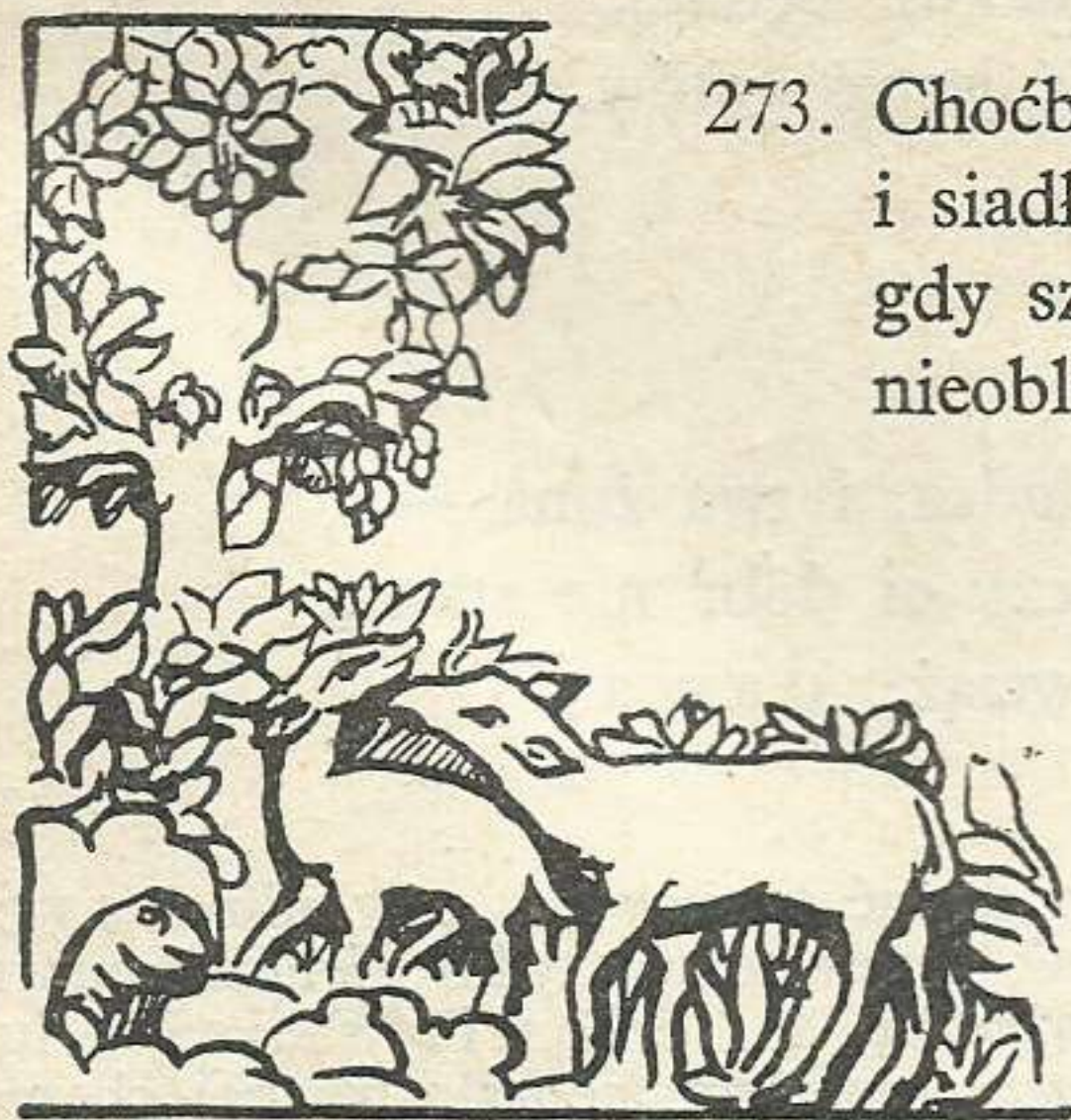
125. Człowiek-krętacz, gdy zechce, tak się zmyślnie sprawi,
że nieprawdę za prawdę najszczerzą przedstawi,
niby malarz, co biegły w malarskiej rutynie,
na płaszczyźnie przedstawia góry i doliny.

*O życiu*

76. Dziecko całe swe życie ma przed sobą jeszcze,
młodzieniec wszedł już w życie, z jego nurtem płynie,
kogo zaś wiek obarczył, za sobą je wlecze.

Niech więc chłopiec swą przyszłość ma w wysokiej cenie,
jak dobro, co niemałym trudem się opłaca,
młodzieniec niech się cieszy życia swego majem,
ale starzec — dlaczego co krok wstecz się zwraca
i spogląda jak człowiek wypędzony z kraju?

★



273. Choćbyś bogactwa nagromadził mnogie
i siadł na stolca władczego wyżynie,
gdy sztukę życia zostawisz odłogiem,
nieobliczalny — z tym, coś posiadał, zginiesz.

O mądrych i głupich oraz ślepocie i zaślepieniu

227. Mędrców, którzy dotarli do najwyższej prawdy,
nie waż lekce, bogactwo żadne ich nie skusi,
do miejsca nie przywiąże, jak włókienko trawy.
Przecież i słonia także, któremu w czas rui
spływa z pyska posoka strugami się niosąc,
nie utrzyma na miejscu wąta wić lotosu.



*O kobietach i dzieciach*³

41. Niewiasta niech się ozwie i słowem podpędzi,
jużeś jest inny, człeku, i rwiesz się do lotu;
Nieosiągalne wczoraj — dziś ci lekkim będzie,
ba, nawet niejadalne — dziś zjeść jesteś gotów.

★

133. Gość w tym domu, i dziecko, władca, i twa żona —
czy masz z czego, człowieku — czy ci dóbr nie stawa,
nie bacząc na nic, jedno wołają wciąż: d a w a j!

³ Wyznam szczerze, że mnie strasznie korciło dodać tu nawias, a w nim: LECZ BEZ WARIATÓW I GRAFOMANÓW. Ponieważ jednak z pewnością tylko nieliczni nawet spośród starszych pamiętają przedwojenną książeczkę A. Słonińskiego lub choćby jej tytuł (*O dzieciach, wariatach i grafomanach*), oparłem się tej zdrożnej chęci.

O śmierci i życiu pośmiertnym

92. Jak kwiat się wykształca i owoc
samorodnie, gdy czas nań przychodzi,
tak samo i czyn twój, gdzieś, znowu,
w swoim czasie owoce zrodzi ⁴.

Varia

209. Że perłę skrywa w głębinach,
a trawę na wierzch wylania,
samego morza to wina.
Bo — perła perłą,
a trawa trawą zostanie ⁵.

Z sanskryktu przełożyli

Eugeniusz Słuszkiewicz i Edmund Słuszkiewicz



⁴ Por. przypisek 3 na s. 172 nr 2(18), 1956, „Przeglądu Orientalistycznego”.

⁵ Przedstawiony wybór aforyzmów wchodzi w skład zbioru aforyzmów wschodnich, który ukaże się w najbliższym czasie nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego.